DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII — Warszawa, 11 maja 1952 r. — Nr 19 (337)

W NUMERZE m. in.:

F. WITOWICKI — Tajemnica misji Hessa

R. GUARDINI — Pro memoria Pascala

Z. SKIERSKI — Ostatnia wieczerza

T. JANKOWSKI — Zamek kórnicki

A. ŚWIDERSKA — Z teatrów krakowskich.

Dominik HORODYŃSKI

WALKA O NOWE NIEMCY (1)

Drogi Niemiec

W ZWIĄZKU z miesiącem przyjaźni niemiecko-polskiej organizowanym w NRD przez Towarzystwo Krzewienia Pokojowych i Dobrosąsiedzkich Stosunków z Polską spędziłem pierwszą połowę kwietnia w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Program pobytu delegacji polskiej w NRD był bardzo bogaty. Przejechaliśmy samochodami około 3000 km, odwiedziliśmy miasta Turyngii, Saksonii i Brandenburgii, zwiedziliśmy zakłady pracy, ośrodki młodzieżowe i rolnicze, uczestniczyliśmy w zebraniach i wiecach, rozmawialiśmy z przygodnie poznanymi ludźmi, dyskutowaliśmy z robotnikami, działaczami politycznymi, księżmi, naukowcami, artystami. Wracając do Polski każdy z nas wywiózł masę wrażeń, które teraz z trudem trzeba porządkować.

Chcę sumiennie wszystko co widziałem przekazać czytelnikom „Dziś i Jutro", proszę jednak o wybaczenie, że rozpoczynam moje sprawozdanie inaczej niż publicysta powinien to robić. Według utartej konwencji najpierw powinny być wrażenia i fakty, na końcu zaś, albo na kanwie, wnioski i konkluzje. Wbrew temu obowiązującemu zwyczajowi mój pierwszy artykuł jest sumą pewnych stwierdzeń. A to dlatego, że stwierdzenia te narzuciły mi się z taką siłą, iż od nich właśnie zacząć muszę.

Jedną z nieszczęsnych cech schyłkowej umysłowości mieszczańskiej jest statystyczne widzenie świata. Piszę „umysłowości mieszczańskiej" lecz równie dobrze mógłbym napisać: umysłowości nas wszystkich prawie, gdyż przeżywamy okres epoki mieszczańskiej a nawyki myślowe, typ mentalności, wyrosłe na podłożu takiego czy innego systemu społecznego z reguły trwają dłużej niż sam system i charakteryzują nie tylko klasy broniące upadającego ustroju. Marsylianka była pieśnią pogrzebową ustroju feudalnego a do dzisiejszego dnia jeszcze można spotkać w Europie, a nawet w Polsce, pojedyńcze okazy mentalności feudalnej. Z wielu przyczyn współczesne, schyłkowe mieszczaństwo uzbroiło się w statyczne widzenie świata, w umysłowość ahistoryczną. Znajomość historii jest niebezpieczna i nieprzyjemna. Uczy, że wiele się zmienia, że zmieniają się stosunki międzyludzkie, klasy, narody, państwa. Ulubionym zwrotem mieszczańskim jest powiedzenie: „chcę, żeby było tak, jak było zawsze". Jak wiemy „zawsze" społeczne nigdy nie istniało, bo stale było inaczej, ale mieszczanin to swoje „zawsze" odnosi do jakiejś przejściowej chwili, gdy odczuwał stan maksymalnego bezpieczeństwa i dobrobytu.

To uporczywe narzucanie sobie statycznej i ahistorycznej wizji świata jest narkotykiem, trującym narkotykiem przeciwko prawdziwemu widzeniu rzeczywistości, przeciwko zdrowemu umysłowi. Za takie lekarstwo się płaci. Ceną, którą płaci mieszczaństwo jest absolutna utrata zdolności przewidywania politycznego. Dlatego wbrew początkowej druzgoczącej dysproporcji sił materialnych, obóz socjalistyczny tak szybko i stale rośnie, dlatego m. in. obdarci i nieuzbrojeni żołnierze Mao-Tse tunga zdobyli broń i zaopatrzenie z najbogatszych kas mieszczaństwa światowego i przy pomocy tych środków zmienili dzieje Chin i Azji. Inteligentniejsi ideologowie mieszczańscy zdali sobie w ostatnich latach sprawę, że oszustwo ahistoryczności uderza w ich własną klasę czyniąc ją niezdolną do obrony. Przejrzeli i rzucili heroiczne wezwanie: nie wolno nam ginąć w stanie samozadowolenia i nieświadomości zgonu, musimy spojrzeć prawdzie w oczy, musimy się bać. Ostatni ideolog mieszczański Sartre i wszyscy jego niemieccy, włoscy czy angielscy koledzy podali burżuazji europejskiej jej ostatnie filozoficzne danie: strach, rozpacz i trwogę. I o dziwo, to danie już ósmy rok z największym apetytem jest konsumowane. Trudno nie ubolewać nad tym smutnym widowiskiem, ale nie ma się znowu czemu dziwić. Na własnej skórze poznaliśmy jak trudno jest dla burżua przestać być burżua.

Dekadenckie zalecenia Sartre'a stop niowo zamieniają się na Zachodzie w zwykły faszyzm, natomiast statyczny typ umysłowości mieszczańskiej ciąży nadal nad Europą niezależnie od zmian zaszłych w jej wschodniej części. Ten typ umysłowości powszechny do niedawna w Polsce jest dopiero w stadium przełamywania się i stan ten potrwa zapewne jeszcze dość długo. Poważnie utrudnia to pełne rozumienie istoty przemian dokonywanych w naszym kraju, a tym bardziej ocenę tych wszystkich wielkich przesunięć, które dokonywują się nieodwracalnie na całym świecie.

JEDNYM z zagadnień, którego zrozumienie szczególnie trudne jest dla umysłowości statycznej jest zagadnienie niemieckie, specjalnie zaś stosunek narodu niemieckiego i polskiego.

Między żadnymi chyba narodami na świecie nie leży tak zła przeszłość jak między narodem niemieckim i polskim. Doznaliśmy od Niemców krzywd straszliwych, żaden człowiek zdrowy moralnie nie zapomni nigdy zbrodni okupacji hitlerowskiej, dokonywanych przez Niemców w imię narodu niemieckiego.

Gdy dzisiaj, w siedem lat po wojnie, ludzie przyjeżdżający z NRD przywożą wiadomości o ogromnych rezultatach pracy wychowawczej prowadzonej w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdy z radością mówią o tym, że po raz pierwszy w dziejach państwo niemieckie wyrasta na naszego pokojowego i przyjaznego sąsiada, który szczerze uznaje wielkie winy i zbrodnie własnego narodu i równie szczerze wraz ze wszystkimi pokojowymi narodami chce pracować nad zbudowaniem lepszych stosunków w świecie, wtedy często słyszy się odpowiedź: „Niemiec zawsze pozostanie Niemcem i żadnej zgody z nimi być nie może. Setki lat historii dowodzą, że żądza podbojów i zaborów jest stałą cechą charakteru niemieckiego, prosimy nie nabierać nas na żadną zmianę".

Reakcje takie są zrozumiałe. Często towarzyszy im troska o siłę i rozwój postępowych, demokratycznych sił społecznych w Niemczech, często czujność i obawa w stosunku do tych elementów niemieckich, które są spadkobiercami złych, wczorajszych tradycji. Niejednokrotnie jednak nieufność i sceptycyzm w stosunku do zmian zachodzących w Niemczech wynika po prostu ze statycznego sposobu myślenia. Najlepszym dowodem na to jest właśnie tak typowe powoływanie się na t. zw. przykłady historii. Otóż nauka historii głosi akurat co innego, niż chcieliby w niej widzieć ci, którzy na nią tak chętnie się powołują.

Przede wszystkim historia uczy, że niezmienność t. zw. „charakterów narodowych" i pojęcie „odwiecznych wrogów" są zazwyczaj mitem. Znajomość historii Niemiec i historia stosunków polsko-niemieckich mogła by bardzo pomóc w rozbiciu tych szkodliwych mitów.

Artykuł publicystyczny nie jest właściwym miejscem do szczegółowych rozważań historycznych. Przypomnieć jednak wypada parę ogólnie znanych faktów. Tradycja odwieczności naszych walk z Niemcami wyrosła ze zmagań Polski z zakonem krzyżackim a później z Prusami Fryderyka Wielkiego. Jestem głęboko przekonany, że nie może zrozumieć obecnej sytuacji w Niemczech, a przede wszystkim dynamiki i perspektyw rozwojowych tej sytuacji, ten, kto nie przyswoił sobie zrozumienia klasowych elementów społeczno-politycznej historii narodów, kto ciągle uważa przesłanki klasowe za „marksistowską propagandę".

Państwo krzyżackie od samego początku aż do swego niesławnego kresu nosiło charakter klasowy feudalnego tworu kolonizatorskiego, grabieżczego i zaborczego. Państwo to traktowało tereny zdobyte na słowiańszczyźnie jako tereny wyzysku. Państwo Pruskie było również formacją feudalną. Właśnie junkierski charakter władzy państwowej Prus warunkował ich ekspansję na wschód gdyż do ziemiańskiej gospodarki pruskiej łatwiej było włączyć rolnicze tereny polskie niż zachodnie tereny niemieckie, zamieszkane przez silnie już rozwinięte mieszczaństwo. Dzięki zdolnościom organizacyjnym i militarnym Hohenzollernów, a w szczególności Fryderyka Wielkiego, Prusy w drugiej połowie XVIII w. stały się najdynamiczniejszym państwem spośród państw niemieckich. W tym też czasie były terenem migracji tak z Niemiec zachodnich jak i innych krajów zachodnio-europejskich. Klasowy „Drang nach Osten" na zacofane, łatwe do wyzysku ziemie polskie wsparty sprawną organizacją państwową Prus przenikać począł do całych Niemiec.

Po wojnach napoleońskich zrodził się w Niemczech ruch narodowy dążący do zjednoczenia całego kraju. Zdałem maturę nie tak dawno, przed kilkunastu laty, a jeszcze mnie w gimnazjum uczono, że narodowy ruch ogólno-niemiecki był skutkiem gwałtów Napoleona, które obudziły patriotyzm niemiecki, poczucie godności narodowej, zrozumienie wspólnego losu całego narodu niemieckiego itd. Niedostatecznie wyjaśniono mi natomiast, że ruch ten był przede wszystkim klasowym ruchem mieszczańskim, że był jego narzędziem w walce z feudalizmem niemieckim. W Niemczech rozbitych na niezliczoną ilość pseudo niezależnych państewek i księstw, podzielonych niezliczoną ilością granic celnych uniemożliwiających rozwój handlu ogólnoniemieckiego, klasa feudalna podpierająca liczne trony długo mogła opierać się naporowi mieszczaństwa. Zjednoczenie Niemiec i otwarcie wewnętrznych granic musiało natychmiast zmienić układ sił klasowych. Ówczesne Prusy, nadal feudalne i ziemiańskie z najsłabiej rozwiniętym przemysłem i handlem stały się formacją najbardziej zacofaną w stosunku do ogólnonarodowych tendencji niemieckich. Zwycięstwo mieszczaństwa nie leżało w interesie junkrów pruskich i mimo, że patrioci niemieccy w Hohenzollernach widzieli przyszłych wodzów całych Niemiec, właśnie Prusy traktowały ruch ogólnonarodowy jako wręcz wrogi. M. in. autor pieśni „Deutschland, Deutschland uber alles" jeden z ideologów postępowego mieszczaństwa Hoffman von Fallersleben doznaje policyjnych prześladowań. Tragiczne są dzieje niemieckiego mieszczaństwa! Ludzie, którzy śpiewali nielegalną, pierwszą swą narodową pieśń i z entuzjazmem witali wybuch Rewolucji Lutowej i Powstania Listopadowego nie widzieli, że ta sama pieśń w ustach prawnuków ich zwycięskiej klasy będzie symbolem zbrodni i zagłady dla narodów Europy, symbolem hańby dla narodu niemieckiego. Dzieje tej pieśni mogą być symbolem drogi rozwojowej nie tylko niemieckiego mieszczaństwa. Ale, przyznać trzeba, żadne mieszczaństwo krajów europejskich nie doczekało się tak potwornej degeneracji jak mieszczaństwo niemieckie czasów hitleryzmu.

SZCZEGÓLNE zdziczenie niemieckiego imperializmu w XX w. tłumaczy nie tylko szeroka baza materiałowa i ludzka, którą mógł dysponować i która umożliwiała mu szaleńcze rojenia o panowaniu nad światem. Zjednoczenie Niemiec przez Prusy i przez Bismarcka stworzyło szybko sojusz junkrów z kapitalistami niemieckimi, junkierski duch militaryzmu i zaborów, junkierska pogarda dla innych narodów zaszczepiona została mieszczaństwu niemieckiemu i przyśpieszyła jego degenerację.

Bismarck reprezentuje, w pierwszym okresie swej działalności, klasowe interesy junkierstwa pruskiego; przez dłuższy czas przeciwstawiał się zjednoczeniowym tendencjom uważając je za antypruskie pomysły. Rychło jednak zrozumiał nieodwracalność procesu rozwoju przemysłu i handlu, zrozumiał polityczną szansę Prus i stał się heroldem zjednoczenia. Punkt ciężkości zjednoczonego państwa niemieckiego przeniósł się na zachód. Tam, w Nadrenii niegdyś mało cenionej przez junkrów prowincji pruskiej, powstała najpotężniejsza klasa finansjery i monopolistów, tam z czasem rozrosła się największa baza klasy robotniczej Niemiec. Odwrotnie do sytuacji z XVIII wieku rozpoczął się proces migracyjny ludności z wschodu na zachód. Proces ten trwał do naszych dni i np. w Prusach Wschodnich problem ten w okresie międzywojennym był bardzo poważny. Kierowniczą politycznie rolę w kapitalistycznych i imperialistycznych Niemczech, przy poparciu Hohenzollernów potrafili zapewnić sobie synowie junkrów, armia stała się ich narzędziem. Ludzie, których nazwiska złowrogo upaprały się w dziejach niemieckich wojen zaborczych często wywodzili się z ziem zrabowanych niegdyś Polsce: Hindenburg, rodem z Poznania, Ludendorff z Kruszewni, Tirpitz z Kostrzynia, dzisiejszy Guderian z Chełmna itd. Na ziemiach zagrabionych przez niemieckie klasy panujące wyrósł typ zdobywcy przepojonego duchem nienawiści i pogardy do innych narodów. Ich wkład w imperializm, w faszyzm niemiecki nadał mu skrajnie nieludzkie cechy i umożliwił potworne zjawisko hitleryzmu.

Uchwałą Rady Sojuszniczej z 1947 r. państwo pruskie przestało istnieć. Dwa lata wcześniej w gruzach Trzeciej Rzeszy mieszczaństwo niemieckie utraciło władzę nad wschodnią częścią Niemiec. Władza w Niemieckiej Republice Demokratycznej przeszła w ręce klas, które od pokoleń płaciły za grabieżczą politykę junkrów i imperializmu niemieckiego i które zainteresowane są w tym, by naród niemiecki z tej drogi zeszedł raz na zawsze.

NARÓD niemiecki — co to właściwie oznacza? — Niemieccy robotnicy, chłopi, inteligencja pracująca — mają odmienne interesy i dążenia od niemieckich bankierów, przemysłowców i zawodowych generałów. Charakter narodu uwarunkowany jest klasowym charakterem instytucji państwa. Ideologia klasy każdorazo

(Dokończenie na str. 4)

Porozmawiajmy...

Panie Mikołaju

ZANIEPOKOIŁ Pana artykuł o integryzmie w świątecznym numerze „Dziś i Jutro". Pisze Pan: „Należy zakwestionować słuszność definicji integryzmu, podanej przez Nell-Breuninga, a przyjętej przez Kętrzyńskiego. Gdyby Nell-Breuning napisał o „wychodzeniu z płaszczyzny religijnej", a nie katolickiej, wszystko by było w porządku. Wydaje się jednak, że dla katolika nie ma takiej sytuacji, w której mógłby o swojej przynależności światopoglądowej zapomnieć. Katolicyzm to przede wszystkim religia, ale to nie tylko religia. To pełnia prawdy w całe. Tak więc jeżeli rzeczywiście w badaniach naukowych kryteria religijne są mało przydatne, nie znaczy to, że par excellence katolicka postawa rzetelnego dążenia do prawdy ma być przez uczonego zignorowana. Sumując — zajmowanie wyłącznie katolickiego stanowiska w odniesieniu do wszystkich dziedzin życia nie powinno być określane pejoratywnie mianem integryzmu".

Przede wszystkim trzeba wyjaśnić jedno, dość zasadnicze nieporozumienie: Oto jak brzmi zakwestionowane twierdzenie Nell-Breuninga: „pojęty jako system **totalny**, integryzm pragnie przekształcić i określić **wszystkie** dziedziny życia, wychodząc z płaszczyzny **(specyficznie i wyłącznie)** katolickiej". Jak to uwypuklają moje podkreślenia, Nell-Breuning, określając integryzm mówi o czymś innym niż o „wychodzeniu z płaszczyzny katolickiej". Widzi on w integryzmie **totalny** system myślenia, który chce oddziaływać na świat **wyłącznie** elementem katolicyzmu i to **specyficznym**, swoiście rozumianym katolicyzmem, najwidoczniej różnym od tego, co się w potocznym naszym języku w tym pojęciu mieści.

Jest jednak charakterystyczne, że Pan tych określeń nie zauważył. Jest to tylko jeden dowód więcej, jak dalece integryzm przeniknął naszą mentalność. Po prostu nie wyobrażamy sobie przeważnie, by istniał rzeczywiście taki krąg problematyki, w którym rozwiązań nie należy szukać bezpośrednio w doktrynalnych sformułowaniach katolicyzmu.

W naszą dyskusję niespodziewanie wmieszał się głos postronny. Oto w lutowym numerze katolickiego przeglądu „Vie Intellectuelle" ukazał się krótki artykulik pod prowokującym tytułem: „Czy istnieje katolicka metoda prowadzenia parowozu?" Pytanie bez wątpienia paradoksalne, ale istotnie idące bezpośrednio po linii Pańskich, Panie Mikołaju zastrzeżeń. Istnieje socjalistyczna metoda prowadzenia parowozu. Przodownik pracy Czapczyk, który oszczędza węgiel i przedłuża normy kursowania parowozu bez generalnego remontu, mógłby nam wiele o tym powiedzieć. Można stwierdzić, iż istnieje typowa, kapitalistyczna metoda posługiwania się tą maszyną. Ale czy istnieje katolicka?

W odpowiedzi można się posłużyć ogólnikiem i powiedzieć, że prowadzić po katolicku to jednak samo przez się nie jest wystarczające, gdyż sama znajomość katolicyzmu nie wystarczy tu, a z drugiej strony nie mamy prawa negować, że poza katolicyzmem istnieją również i inne systemy etyczne, które również domagają się uczciwego, solidnego podejścia do wykonywanej pracy.

Przechodząc zaś na płaszczyznę szerszą niż zagadnienie parowozu, autor artykuliku w „Vie Intellectuelle" ostrzega przed nadmiernym powoływaniem się na doktrynę w rozwiązaniach praktycznych „ryzykuje się bowiem, że na miejsce planów Stwórcy podstawi się wówczas w sposób często zupełnie nieświadomy plany ludzkie, nadto ludzkie, czysto indywidualne, lub też, by powiedzieć dosadniej, by całą dedukcję sprowadzić na płaszczyznę przewidzeń i przesądów społecznych, wśród których się obracamy". Po tym ostrzeżeniu, które bezpośrednio bije w integryzm, autor próbuje jednak sprecyzować swą myśl pozytywnie. W katolicyzmie zawarte są ogólne wskazówki moralne, które winny rządzić naszym postępowaniem, bez względu na zawód czy kierunek zainteresowań. Wskazówki te oświetlają nam nasze sumienie, jednak nie ujawniają nam w niczym planów Opatrzności. Tych musimy się doszukiwać naszym własnym rozumem, przy pomocy tych danych, jakie zawiera w sobie katolicyzm. Nie tracąc więc nigdy z oczu zasad naszej wiary, musimy jednak mieć odwagę przyznać się przed samym sobą i przed światem wówczas, gdy formułujemy nasze sądy, wypracowujemy rozwiązania (techniczne czy filozoficzne, obojętnie), wprawdzie w oparciu o katolicyzm, ale posługując się bezpośrednio tylko naszymi ludzkiemi możliwościami intelektualnymi. W tym wypadku nie wolno powoływać się nam na autorytet katolicyzmu, nie wolno nam określać naszych rozwiązań jako **specyficznie i wyłącznie** katolickich. Postępując inaczej — wpadamy właśnie w integryzm i próbujemy nasze własne, ludzkie i przemijające koncepcje umacniać i potwierdzać bezpodstawnie autorytetem Kościoła i katolicyzmu.

Być katolikiem w każdym momencie naszego życia, ale odwoływać się do autorytetu katolicyzmu tylko wówczas, gdy dotykamy się wprost spraw zawarowanych misją Kościoła — oto właściwa zasada działania i myślenia. Czy się zgadzamy Panie Mikołaju? Jeśli tak, to dobrze, jeśli nie, wrócimy znów do tego problemu. Jest dosyć ważny, by warto było nad nim pomyśleć.

W. K.

POLITYKA PROWOKACJI

POD powyższym tytułem, jeden z ostatnich numerów brytyjskiego „Spectatora" przeprowadza analizę antyradzieckich wystąpień amerykańskich polityków i mężów stanu. Wywody „Spectatora" nacechowane są przede wszystkim troską o zachowanie jak najlepszych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi a równocześnie są odbiciem niepokojów nurtujących mieszkańców wysp brytyjskich wobec prowokacyjnych wystąpień amerykańskich, zmierzających do wywołania nowego konfliktu światowego.

„Jest rzeczą ogromnej wagi dla sprawy utrzymania jak najbardziej zbliżonej linii polityki zagranicznej brytyjskiej i amerykańskiej, dowiedzieć się w jakim stopniu osobistości takie jak Mr John Foster Dulles są w stanie wpływać na decyzję rządu Stanów Zjednoczonych. Pan Dulles oświadczył w niedzielę, że Stany Zjednoczone nie mogą pozostać bezczynne aż do momentu kiedy jakakolwiek część świata pozostanie pod władzą komunizmu.

Słowa „pozostać bezczynne" mogą być różnie interpretowane, oznaczają jednak jasno, że jeśli polityka amerykańska zmierza do usunięcia komunizmu z Chin Ludowych siłą, to należy jasno powiedzieć, że podobne usiłowania nie powinny mieć nic wspólnego z polityką. Pan Dulles utrzymuje, że Stany Zjednoczone powinny stale wywoływać wszelkie możliwe zamieszki i niepokoje mające na celu nękanie i zwalczanie ustroju komunistycznego w Chinach. Wydaje się to być czystą prowokacją, mającą na celu wywołanie wojny. Mamy jednak nadzieję, że polityka brytyjska nie ma zamiaru korzystać z prowokacji tak ograniczonej lub nieograniczonej, gdziekolwiek bądź by to było.

Dalej, pan Dulles chciałby przejąć „inicjatywę z rąk nacjonalistów chińskich na Formozie" w celu zwiększenia wysiłków mających na celu stwarzanie trudności Chinom Ludowym. Z tym ostatnim nie mamy, na szczęście, nic wspólnego i łatwo możemy się temu przeciwstawić. Wynika stąd jednak gwałtowna potrzeba dowiedzenia się w jakim stopniu głos P. Dullesa jest rzeczywistym głosem Ameryki.

Jak widać z przytoczonych cytatów, chodzi przede wszystkim o to, by Wielka Brytania nie została lekkomyślnie wciągnięta w wojnę przez niepoczytalne wystąpienia polityków amerykańskich. Nawet najbardziej zagorzali nacjonaliści i propagatorzy wojenni zdają sobie w Anglii sprawę, że w obecnej chwili każdy konflikt oznacza definitywną klęskę Wielkiej Brytanii i nieuchronny koniec resztek z takim trudem ocalonych wielkiego niegdyś Imperium.

Wszystko byłoby jak najlepiej i wszyscy ludzie szczerze pragnący pokoju z zadowoleniem zanotowaliby ów trzeźwy głos zachowawczego organu jakim jest „Spectator", gdyby nie następna notatka figurująca akurat pod cytowanym powyżej artykułem. Notatka ta nosi tytuł „Nowy etap na Malajach" (A new chapter in Malaya) i zawiera oświadczenie nowomianowanego generała Templer'a, który dowodzi operacjami przeciwko partyzantom i powstańcom malajskim.

Komentator „Spectatora" poważnie zastanawia się nad rodzajem operacji powietrzno-lądowych, które by najbardziej skutecznie poprawiły niepewną sytuację Brytyjczyków na Półwyspie Malajskim. Zaleca stosowanie na wielką skalę desantów spadochronowych, równocześnie przyznając, że dotychczasowe próby w tym kierunku nie dały żadnych rezultatów.

Generał Templer jest, być może, dobrym fachowcem. Nie jest natomiast ani za grosz politykiem. W parę dni po przyjeździe do Kuala-Lumpur oświadczył bowiem przedstawicielom brytyjskiej administracji na Malajach: „Mógłbym tę wojnę wygrać w trzy miesiące, gdybym tylko zdołał pozyskać dwie trzecie ludności, aby stanęła po naszej stronie". Przyznanie takie jest głęboko kompromitujące. Oznacza po prostu, że w najlepszym razie po czterech latach wojny, po uporczywym bombardowaniu dziesiątek miasteczek i wiosek malajskich, po zmobilizowaniu 140.000 ludzi, nie licząc miejscowej policji, większość ludności malajskiej opowiada się stanowczo po stronie powstańców.

Zamieszczona notatka w „Spectatorze" oznacza jeszcze coś więcej. Demaskuje obłudne i egoistyczne biadania nad możliwościami niebacznego wywołania wojny przez USA, przy równoczesnym sankcjonowaniu prowadzenia wojny kolonialnej przeciwko wolnościowym aspiracjom ludów kolorowych, wojny, która na pewno nie przyczynia się do ustalenia pokoju w Azji, tej samej Azji, o której spokój tak troszczył się na tej samej stronie komentator „Spectatora".

NOTATNIK POLITYCZNY

Wokół prowokacyjnej nominacji

NA TEMAT przypuszczalnego następcy Eisenhowera prasa zachodnia snuła najróżnorodniejsze domysły. Pisano o brytyjskim marszałku Montgomerym, o generale Gruentherze — szefie sztabu armii atlantyckiej, wreszcie o generale Mac Clarku — dowódcy amerykańskich sił lądowych. Prasa brytyjska nieśmiało przebąkiwała, że po powrocie Eisenhowera do USA nie znajdzie się żaden generał amerykański o równym „AUTORYTECIE i ZNACZENIU" (osoba Mac Arthura w ogóle nie wchodziła w rachubę), który mógłby bez ujmy dla brytyjskiego honoru być przełożonym zwycięzcy spod El Alemein — marszałka Montgomery'ego.

Nawet wówczas jednak, kiedy ostatecznie stało się jasnym, że tylko Amerykanin może dostać nominację na dowódcę atlantyckich sił zbrojnych, zachodnio - europejska prasa z niedowierzaniem odrzucała sugestie amerykańskie wskazujące na generała Matthew Ridgwaya, jako na przypuszczalnego nominata.

Rzecz jasna powody tej niechęci mieszczańskiej opinii publicznej Europy Zachodniej nie wynikały z pobudek natury humanitarnej. Trzeźwi Brytyjczycy i Francuzi zdawali sobie po prostu sprawę, że mianowanie oprawcy narodu koreańskiego musi być przez Obóz pokoju jednoznacznie ocenione jako kolejny dowód agresywnego charakteru paktu atlantyckiego. Okazało się jednak, że nawet w kwestiach dotyczących taktyczno-dyplomatycznych decyduje dyktat USA. Kiedy Rada Paktu Atlantyckiego zwróciła się z prośbą do Trumana o mianowanie Amerykanina szefem atlantyckich sił zbrojnych — już w godzinę potem otrzymała z Waszyngtonu telegraficzną odpowiedź, że nominację otrzymał Ridgway.

Tego samego dnia popołudniu odbyło się kolejne posiedzenie Rady Atlantyckiej i każdy z jej członków zapytywany o sąd indywidualny w sprawie tej nominacji odpowiadał, jak relacjonuje nowomianowany sekretarz generalny NATO lord Ismay, entuzjastycznym wykrzyknikiem: „Jestem zachwycony".

Jak wiadomo dotychczasowy dowódca armii atlantyckiej gen. Eisenhower miał szerokie kompetencje polityczne do uzgadniania kwestii spornych między rządami państw wchodzących do NATO. Obecnie, gdy Ridgway został mianowany naczelnym dowódcą a lord Ismay generalnym sekretarzem NATO, sprawy polityczne i sprawy militarne zostały rozdzielone. Może tym właśnie należałoby tłumaczyć nieoczekiwanie łatwą zgodę rządu W. Brytanii na mianowanie Ridgwaya. Dzięki temu, że najbliższy współpracownik Churchilla — Ismay będzie bezpośrednio odpowiedzialny za politykę NATO, zwiększają się szanse wpływania W. Brytanii na szereg dyplomatycznych posunięć organizacji paktu atlantyckiego. Ponadto rozdzielenie politycznych i militarnych kompetencji wskazywałoby, że według USA zadaniem numer 1 w tej chwili są konkretne przygotowywania wojskowe. Grunt polityczny pod tworzenie armii europejskiej jest według Waszyngtonu dostatecznie „urobiony".

Nie sądzimy, żeby ta diagnoza odpowiadała stanowi faktycznemu. Amerykanów czekają jeszcze poważne trudności polityczne przed podpisaniem układu generalnego z Bonn. Według opinii prasy zachodniej układ ten zostanie podpisany 20 maja. W swym przemówieniu pierwszomajowym prezydent Pieck wezwał ludność Niemiec Zachodnich do udaremnienia tego spisku przeciw zjednoczeniu Niemiec zapowiadając, że w wypadku podpisywania układu — N. R. D. „zorganizuje zbrojną obronę kraju ojczystego". Wydaje się, że to jest jedyna odpowiedź, jaką można udzielić uwyraźnionym przez nominację Ridgwaya planom USA gotującym Niemcom Zachodnim los Korei.

Franciszek WITOWICKI

TAJEMNICA MISJI HESSA

W tej brutalnej twarzy fizjonomista mógłby dopatrzyć się zarówno zbrodniczych skłonności, jak i śladów szaleństwa. (Zdjęcie Hessa z 1940 r.)

W dniu 10 maja 1941 r. służba ochrony terytorium Wielkiej Brytanii została zaalarmowana wiadomością, że pod wieczór w północnej Szkocji wylądował samolot niemiecki. Lądowanie było przymusowe i aparat został uszkodzony. Pilota znaleziono ze złamaną nogą. Wydarzenie dość błahe, nawet podczas wojny. Ale zdumienie ogarnęło Londyn, skoro przesłuchany pilot oświadczył, że jest Rudolfem Hessem, pełnoprawnym zastępcą Führera Rzeszy Niemieckiej, Hitlera, i drugą co do stanowiska i znaczenia osobistością Niemiec. Przybycie w pełnym toku wojny takiej osobistości do nieprzyjacielskiego kraju, było dla społeczeństwa angielskiego czymś tak niezwykłym, że rząd angielski podejrzewając jakąś mistyfikację, co prędzej wyprawił do szpitala, w którym leżał Hess, jego dobrego znajomego księcia Hamiltona. Hess bowiem urodzony i wychowany w Egipcie, miał duże znajomości wśród wyższych osobitości świata angielskiego; utrzymywał z nimi stały kontakt a Hamilton uważany był za jednego z jego bliskich przyjaciół. Przed wojną spędził on nawet dłuższy czas w Niemczech, jako gość Hessa. Hamilton od razu rozpoznał w przybyszu swego przyjaciela, który oświadczył mu, że przybył do Wielkiej Brytanii z ważną misją.

Przez dwa dni gubiono się w domysłach o powodach tej eskapady, prasa całego świata była poruszona, ale miarodajne koła angielskie milczały nie udzielając żadnych wyjaśnień. Dopiero na trzeci dzień ukazał się komunikat brytyjski stwierdzający tożsamość osoby Hessa. Drugi komunikat ogłoszony niebawem donosił, że „Rudolf Hess, zastępca Führera Rzeszy Niemieckiej, będzie traktowany na prawach jeńca wojennego". — I nic więcej. Nad Hessem zapadło głuche milczenie na długi szereg lat i wypłynął on dopiero w 1946 roku, zasiadając jako jeden ze zbrodniarzy wojennych na ławie oskarżonych w Norymberdze. Przez cały czas procesu milczał zawzięcie, choć będąc jednym z najbardziej fanatycznych narodowych socjalistów, był bardziej obciążony od Keitla, Jodla, nawet Ribbentropa. Lekarze sądowi stwierdzili, że cierpi on na nieuleczalną melancholię i może dzięki takiemu oficjalnemu orzeczeniu ocalił on swoją głowę. Ale tajemnica jego lotu nie została wyjaśniona i dopiero od niedawna zaczynają przenikać wiadomości o celu misji Hessa.

Kiedy Hess w majowy wieczór przybył do Anglii sądzono, opierając się na oficjalnych komunikatach niemieckich, że zbiegł on bez wiedzy i pozwolenia Hitlera. Obecnie jednak okazuje się, że był przezeń upoważniony do udania się do Anglii i do bezpośredniego porozumiewania się z brytyjskimi kołami rządowymi na temat zaprzestania wojny pomiędzy Anglią a Niemcami, zanim te ostatnie napadną ZSRR.

Gdy nadeszła kapitulacja Francji w czerwcu 1940, a Anglia odparła desant niemiecki, Niemcy porzucili myśl opanowania tą drogą Wielkiej Brytanii i w otoczeniu Hitlera ustaliło się przeświadczenie że z odrobiną taktu i cierpliwości (zalet nie odpowiadających temperamentowi Hitlera) można będzie doprowadzić do rokowań z Wielką Brytanią.

Hess, będąc wtajemniczony we wszystkie plany Hitlera, wiedział doskonale, że Rzesza podstępnie przygotowuje napaść na Związek Radziecki. W dalekosiężnych planach imperializmu hitlerowskiego dojście do porozumienia z Anglią, zaprzestanie z nią wojny i zabezpieczenie sobie frontu zachodniego, a może nawet zyskanie w niej sprzymierzeńca, było rzeczą godną wielkiego wysiłku.

W tym celu Niemcy podjęły kampanie pokojową pod adresem Wielkiej Brytanii, licząc, że ich dotychczasowe sukcesy wpłyną na nastroje angielskie i znajdą podatny grunt w kołach filoniemieckich. Reprezentowały one bowiem pozycję, na którą można było liczyć:

PIERWSZY etap akcji Niemiec polegał na przeprowadzeniu prób na terenie neutralnych krajów Szwecji, Szwajcarii i Portugalii, mających na celu nawiązanie stosunków z poselstwami angielskimi. W wyniku tych prób, okazało się, że niektórzy z dyplomatów angielskich nie tylko nie okazali się wrogo usposobionymi do wysuwanych koncepcji niemieckich, ale nadto swoje prywatne rozmowy i wrażenia natychmiast przekazywali Foreign Office. Tak pierwszy etap kampanii niemieckiej powiódł się: nici zostały zadzierżgnięte. Zaś w londyńskim Foreign Office wszystkie te wiadomości zbierano, rejestrowano, segregowano i nabierano przekonania, w miarę jak ich ilość mnożyła się, że jeśli Niemcy tak usilnie zabiegają o zaprzestanie wojny, po jej dotychczasowym zwycięskim przebiegu, to oznacza to, że muszą mieć w tym jakiś szczególny interes.

Wobec tak „pomyślnej" atmosfery Hess podwoił swe usiłowania i pomnożył liczbę emisariuszy. Jednym z czołowych był Albrecht Haushofer, syn znanego twórcy nauki o geopolityce generała Karola Haushofera, profesora Uniwersytetu w Monachium, jednego ze współtwórców „naukowej" podbudowy imperializmu hitlerowskiego.

Młody Haushofer wychowywał się w Anglii, znał dobrze księcia Hamiltona i wiedział o jego proniemieckim i antysowieckim nastawieniu. Otóż Haushofer junior już od września 1939 r., gdy kampania w Polsce została zakończona, zaczął uruchamiać swoje stosunki i poruszać kogo mógł byle tylko wytworzyć w Anglii klimat przychylny dla zaprzestania wojny. Propozycje jakie wysuwał, możliwości, które malował, były nie tylko niesłychanie ponętne, ale nadto grubo przekraczające rzeczywiste intencje Hitlera i jego zastępcy Hessa. Haushofer odbył kilka podróży do Szwajcarii, gdzie w Bernie, Lucernie i Genewie nawiązał kontakty z szeregiem poważnych osobistości. Jedną z tych osobistości, znaną w Polsce, był Karol Burkhardt, który do chwili wybuchu wojny był Wysokim Komisarzem Ligi Narodów w Gdańsku i na tym stanowisku zyskał sobie „dobrą" markę u Niemców.

Tymczasem Haushofer, zazdrosny o możliwe powodzenie Ribbentropa wypracował daleko idące plany za pośrednictwem angielskiego i niemieckiego poselstwa w Lizbonie. Odpowiedzi angielskie w tym okresie zaczynają być chwiejne. Zaproponowano spotkanie w jednym z neutralnych krajów: Portugalii, Szwajcarii lub Szwecji. Sprawa jednak zaczęła się ślimaczyć, co niezmiernie denerwowało Hessa, gdyż widząc, że zbliża się chwila dogodna do napaści na ZSRR, pragnął wyjaśnienia sytuacji na Zachodzie. Jednak ani Hess ani Haushofer nie zdali sobie sprawy, że coraz to bezwzględniejsze bombardowanie Anglii i Londynu przez Luftwaffe, mające na celu skłonienie narodu angielskiego do układów i pokoju, wywierało skutek wręcz przeciwny i podniecało ducha oporu.

A tymczasem Hess zaczyna tracić cierpliwość. W małym gronie zaufanych, w skład którego wchodził adiutant Pintsch, detektyw osobisty Platzer i szofer Rudi Lippert, jedzie do Augsburga i w dniu 10 stycznia 1941 r. na specjalnie dlań przygotowanym Messerchmiedtcie (Ms. 110) samotnie odlatuje zapowiadając powrót po paru godzinach. Rzeczywiście 4 godziny później był już z powrotem. Odbył lot do Szwajcarii, gdzie oczekiwał go Haushofer z angielskim wysłannikiem. Ale rozmowa była krótka i nie doprowadziła do żadnych konkretnych rezultatów.

Prosto z Augsburga udaje się Hess do Berchtesgaden, aby złożyć sprawozdanie Hitlerowi. Aby usprawiedliwić swe niepowodzenie, tłumaczy Führerowi, że Anglicy obawiają się zasadzki i doradza, aby podać im warunki pokoju zanim rozpocznie się prowadzenie bezpośrednich rokowań. Ale moment nie został dobrze wybrany, ponieważ równocześnie Göring, korzystając z długich, zimowych nocy, zapowiedział wzmożenie bombardowań i zapewnił uroczyście Führera, że w ciągu jednego miesiąca „rozłoży" Anglię. Po co zatem było zaprzątać sobie głowę negocjacjami pokojowymi. Opierając się na przyrzeczeniach Göringa Hitler postanowił czekać na nieuniknioną kapitulację Anglii.

MINĄŁ jednak zapowiedziany pierwszy, potem drugi i wreszcie trzeci z kolei miesiąc, a kapitulacja Anglii nie nastąpiła. Trzeba było przeto rozpocząć rokowania od nowa. Na widowni wydarzeń z powrotem pojawiają się Hess i Haushofer. Ten ostatni udaje się najprzód do Szwecji a później do Szwajcarii, gdzie Burckhardt przedkłada mu „podstawy do rozmów", jakie otrzymał, jak powiada — z Londynu, dodając, że wszystko wskazuje na to, iż pochodzą one od samego lorda Halifaxa. Warunki te są bardzo umiarkowane i nadają się do dyskutowania. Wydaje się oczywistym, że Anglia pragnie porozumienia i pokoju. Jest jednak jedno maleńkie „ale". Oto Anglia nie ma zaufania do Hitlera. Podjąć rokowania z Trzecią Rzeszą, czemu nie? Przeszkód po temu nie ma żadnych. Ale pertraktacji ze znienawidzonym w Anglii Hitlerem społeczeństwo nie darowałoby nigdy rządowi Jego Królewskiej Mości.

Sytuacja zaczyna być poważna i napięta. Hess i Haushofer widzą, że przegrywają i że zapędzono ich w ślepą uliczkę: wielomiesięczne zabiegi zawodzą, tyle trudu i wysiłku oraz pracy, jakie w nie włożono — ma więc pójść na marne? Zły wynik rokowań może podciąć nie tylko ich karierę, ale zagraża ich osobistemu bezpieczeństwu.

Hess jak człowiek, któremu usuwa się grunt pod nogami postanawia ratować sytuację i działać energiczniej. Udaje się znowu ze swymi zaufanymi do Augsburga i z początkiem maja (1941) wylatuje na zachód. Wedle ogólnie przyjętej wersji udał się on do Vichy, aby tam spotkać się z jednym z neutralnych dyplomatów (prawdopodobnie amerykańskim) akredytowanym przy okupowanej przez Niemców Francji. Jego nieobecność trwa tym razem 6 godzin. Z jakim rezultatem powrócił? Nadchodzi dzień sobotni 10 maja 1941 r. Hess zrywa się wcześnie, całe rano dyktuje swej sekretarce osobistej, bawi się z synkiem, spożywa obiad z żoną, po czym wyjeżdża samolotem na lotnisko w Augsburgu. Otoczenie zawsze to samo: Pintsch, Platzer, przy kierownicy Lippert — sami zaufani, swoi ludzie. Żadnej zresztą tajemnicy. Wszyscy oni wiedzą, że Hess z polecenia Führera odlatuje do Anglii. Mowy być nie może o jakimś niespodziewanym wybryku obłąkańca. Wszystko przygotowane i ułożone z góry. Ci, którzy o odlocie powinni wiedzieć, są poinformowani i zorientowani: w Niemczech Hitler i jego najbliższe otoczenie, z tamtej strony kanału La Manche książe Hamilton i cały szereg innych osobistości, z obozu konserwatywnego, przychylnie usposobionego dla Niemiec. Aby doprowadzić do zawarcia pokoju, trzeba wstrząsnąć opinią publiczną Anglii heroicznym gestem. Cóż może być bardziej efektownego od osobistego przylotu do Wielkiej Brytanii pierwszej po Hitlerze osobistości nazizmu i Rzeszy Niemieckiej?

Znamy dalszy ciąg tej historii.

CO było bezpośrednią przyczyną, która skłoniła Hessa do udania się do Anglii? Czy padł on ofiarą pułapki zręcznie nastawionej przez Intelligence Service?

Angielskie czynniki miarodajne musiały się liczyć z faktem, że bombardowania wyczerpują ludność nerwowo, przylot Hessa, świadczący o słabości Niemiec był więc nowym, niezwykle pożądanym, zastrzykiem optymizmu. Zwłaszcza, że wszelkie koszta i ryzyko ponosiła Rzesza. Hess z uprzednich rozmów musiał nabrać przekonania, iż szanse jego eskapady do Anglii są mocne i w tym sensie przedstawiał ją Hitlerowi. Hitler był tutaj zainteresowany nie tylko jako Führer Rzeszy, ale i osobiście, gdyż nie mógł się łudzić, że podjął grę na śmierć i życie.

Z drugiej strony Hess musiał się orientować, że przygotowania, jakie czyni Hitler, aby uderzyć na ZSRR oparte są na niedocenianiu potęgi tego kraju i pragnął wzmóc siłę Niemiec, zabezpieczając ich granice zachodnie.

Wyprawa jednak nie powiodła się. Już przymusowe lądowanie i złamanie nogi to zły omen. Dalszy ciąg zaś był bardzo prozaiczny. Anglicy ustaliwszy identyczność Hessa przeprowadzili z nim rozmowy, dzięki którym uzyskali cały materiał informacyjny, jaki był im potrzebny. Gdy Hess powiedział swe ostatnie słowo i tym samym przegrał swą ostatnią kartę przyszła kolej na odpowiedź angielską. Była ona krótka i lapidarna. Hess, który nie był już Anglikom do niczego potrzebny usłyszał, że przybywszy do Anglii jako obywatel państwa niemieckiego pozostającego w stanie wojny z Wielką Brytanią, będzie traktowany jako jeniec wojenny. O żadnych rozmowach politycznych nie było już więcej mowy. Koniec tej afery miał zresztą nastąpić dopiero w sześć lat później, gdy Hess jako jedyny z czołowych przywódców narodowego socjalizmu, wychodził z sali sądowej w Norymberdze z życiem.

W Niemczech tymczasem, gdzie spodziewano się wielkiego sukcesu Hessa i rokowano w związku z tym wielkie nadzieje, nie liczono się najzupełniej z niepowodzeniem jego misji. Dlatego kompromitacja jego w obliczu całego świata i własnego narodu była niebywała. Nie pozostało nic innego, jak połknąć gorzką pigułkę i zdezawuować wysłannika. Führer dotknięty do żywego wpadł we wściekłość. Polecił wydać oficjalny komunikat, określający Hessa jako człowieka umysłowo chorego. Wedle komunikatu niemieckiego Hess na własną rękę i w największej tajemnicy dokonał szalonego czynu. Tych wszystkich, którzy należeli do najbliższego otoczenia zastępcy Führera i byli dokładnie poinformowani o rzeczywistym stanie sprawy spotkał bardzo smutny los. Trzeba było ich usunąć, aby nie mogli zdradzić tajemnicy. Tym bardziej, że Hitler przekonał się, że Hess wprowadził go w błąd, przedstawiając jako pewnik to, co było tylko jego pobożnym pragnieniem. Osobista sekretarka Hessa została zesłana do obozu koncentracyjnego. Adjutant Pintsch, detektyw Platzer i kierowca samochodu Lippert wcieleni do karnej kompanii. Jeśli zaś chodzi o Haushofera został on również aresztowany, ale później na skutek zabiegów ojca i przez wzgląd na jego zasługi uwolniony i oszczędzony. Ale los nie na długo był mu przychylny. W parę lat później wmieszany w spisek, który doprowadził w lipcu 1944 r. do zamachu bombowego na Hitlera, skończył na szubienicy wraz z całym szeregiem wybitnych osobistości zamieszanych w tę aferę.

Próba porozumienia się hitlerowców z konserwatystami angielskimi upadła. Nie dlatego, że rząd angielski był w zasadzie przeciwny idei takiego kompromisu dwóch imperializmów, wymierzonego przeciw Związkowi Radzieckiemu. Idea ta była bez wątpienia ponętna. Dlatego jednak, że Hitler nie miał w Anglii, jako rozmówca, dostatecznego kredytu zaufania. Gdyby na jego miejscu znalazła się niemiecka prawica z generalicją na czele, a z hitlerowcami dopiero na drugim miejscu, kto wie, czy wysłannik niemiecki nie byłby przyjęty z większymi honorami. Haushofer i Hess nie zrozumieli dyskretnych aluzji brytyjskich dyplomatów. Nie spróbowali obejść się bez Hitlera. Dopiero próba zamachu hr. Stauffenberga w roku 1944 oznaczała powrót, ale spóźniony do tych samych planów.

Co by się stało z podbitymi narodami Europy? Obojętne. Tu chodziło o rzecz ważniejszą, o solidarność postawy niemieckiej i angielskiej prawicy w walce ze Związkiem Radzieckim.

Franciszek Witowicki

Romano GUARDINI

Pro memoria Pascala

PO zgonie Pascala dokonano odkrycia, o którym przekazano nam następujące sprawozdanie:

„W kilka dni po śmierci pana Pascala, jeden z jego służących, przypadkowo zauważył pod podszewką surduta dostojnego zmarłego pewne zgrubienie wskazujące na coś zaszytego. Chcąc się przekonać co to jest, rozciął podszewkę i znalazł mały kawałek złożonego pergaminu, zapisanego ręką pana Pascala. Pergamin ten okrywał kartkę papieru, zapisaną tym samym charakterem pisma będącą wiernym odpisem treści pergaminu. Oba te dokumenty zostały natychmiast zwrócone pani Périer, (siostrze zmarłego), która pokazała je jego najbliższym przyjaciołom. Wszyscy byli zdania, że ten pergamin, tak starannie i tak tajemniczo pisany był rodzajem pro memoria, który Pascal pieczołowicie przechowywał, aby zachować w pamięci coś co chciał mieć zawsze przed oczyma i w głębi duszy. W tym celu przez 7 lat zadawał sobie trud zaszywania i wypruwania z ubrań tego dokumentu, tak często, jak zamawiał nowe ubranie".

W środku karty, na górze narysowany jest krzyż, otoczony promieniami, a pod nim wypisane są następujące słowa:

„Rok Łaski 1654.
Poniedziałek, 23 listopada, dzień św. Klemensa, papieża i męczennika i innych świętych z Martyrologium rzymskiego. Wigilia św. Chryzogona, męczennika oraz innych świętych. Od godziny około dziesiątej i pół wieczór do około pół godziny po północy,

ogień.

„Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakuba"
nie filozofów i uczonych.
Pewność. Pewność. Odczucie. Radość. Pokój.
Jezus Chrystus — Bóg.
Deum meum et Deum vestrum.
„Twój Bóg niech będzie Bogiem moim".
Trzeba zapomnieć o świecie i wszystkich rzeczach z wyjątkiem Boga.
Odnajduje się Go wyłącznie na ścieżkach, o których poucza Ewangelia.
Wielkość duszy ludzkiej.
„Ojcze sprawiedliwy, świat Cię nie poznał, ale ja Cię poznałem"
Radość, radość, radość, łzy radości.
Ja go opuściłem.
Derelinquerunt me fontem aquae vivae.
Boże mój, czy Ty mnie opuścisz?
Obym nie był z nim rozłączony na wieki.
„A ten jest żywot wieczny, aby poznano Ciebie, jedynego prawdziwego Boga i Jezusa Chrystusa, któregoś Ty posłał".
Jezus Chrystus.
Jezus Chrystus.
Ja się od Niego odłączyłem; ja od Niego uciekłem, Jego się zaparłem, ja Go ukrzyżowałem.
Obym nigdy nie był od Niego odłączony.
Zachować Go można jedynie na tych drogach, o których uczy Ewangelia:
Całkowite, wewnętrzne wyrzeczenie się.
Doskonałe podporządkowanie się Jezusowi Chrystusowi, oraz duchownemu mojemu przewodnikowi.
Radość po wieczne czasy w zamian za dzień ziemskiej udręki.
Non obliviscar sermones tuos. Amen.

OTO świadectwo historyczne w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zostaje stwierdzone pewne wydarzenie, które stanowi przełom, dzielący czas poprzedzający od następującego. Nie jest to zapas jakiegoś uczucia poza czasem i przestrzenią, nie jest to mglista wizja czy abstrakcyjna medytacja, które mogły by mieć miejsce zawsze i wszędzie — lecz jest to rozeznanie i postanowienie posiadające swą rzeczywistość w historii. I które tworzy; tworzy historię chrześcijańską i duchową tego człowieka; pozwala dojść jego przeżyciom do punktu szczytowego i nadaje nowy początek jego życiu. W poszczególnym życiu ludzkim powstaje wtedy analogia do owego wydarzenia, które dzieje ludzkości podzieliło na „ante" i „post nativitatem Domini".

A więc zapisek Pascala rozpoczyna się dokładnym określeniem czasu tego wydarzenia. „1654, poniedziałek 23 listopada"... Ale chodzi tu o historię chrześcijańskiego istnienia; dlatego określenie chronologiczne jest tu rzeczą świętą — data opatrzona jest świętą, hieratyczną chciałoby się powiedzieć, godnością: „Rok Łaski 1654"... Dzień zaś zostaje oznaczony według porządku liturgicznego rejestru Świętych z Martyrologium rzymskiego: „Dzień św. Klemensa papieża i męczennika, oraz innych według Martyrologium. Wigilia św. Chryzogona męczennika i innych". I godzina jest podana; nie tylko ze starannością ścisłego badacza, lecz także tego, który zna wartość takiego wewnętrznego doświadczenia i z niepokojem troszczy się o to, aby je zachować: „Od godziny około dziesiątej i pół wieczór do około pół godziny po północy".

Potem następuje szereg urywanych słów, krótkich zdań, fragmentów z pisma św.; wszystko rozdygotane podnieceniem niezwykłego przeżycia.

Pierwszy wiersz stanowi jedno słowo, umieszczone w środku:
„feu — „Ogień".

Dwa wiersze dalej:

„Pewność. Pewność. Odczucie. Radość. Pokój".

I jeszcze o kilka wierszy niżej:

„Radość, radość, radość, łzy radości".

Coś niesłychanego się wydarzyło. Pascal stanął w ogniu. Nie trzeba tego wyrażenia brać w przenośni. Kiedy dusze powołane do religijnych przeżyć mówią o „świetle" wewnętrznym, o „żarze" wewnętrznym, wtedy nie mają na myśli podobieństwa, lecz prawdziwe „promieniowanie", prawdziwy „żar". Oczywiście źródło tych doznań nie leży w naturze fizycznej lub duchowej człowieka. Przeżycie to powoduje duch; a raczej Duch Święty, Boży: Pneuma. W tym doświadczeniu dokonuje się dojście do jasności, ogarnięcie przez chwałę, a życie ludzkie nabiera treści jednolitej i stawia człowieka na nowej płaszczyźnie życiowej.

W samym centrum doświadczenia religijnego, w centrum przeżywania świętego „ognia", gdy wielkość Boga i realność grzechu występuje wyraźnie, żywa pozostaje prawda o tym, że to, co ludzkie, jest wielkie.

Wiemy, kto pisał te słowa: fizyk, matematyk, inżynier, fizjolog, filozof konkretu w najlepszym pojmowaniu tego terminu. Co napełniło go tak wielkim, obezwładniającym wzruszeniem?

„Pewność. Pewność. Odczucie. Radość. Pokój." Tęsknił do tego, lecz nie było mu to dane. Myślał o Bogu w kategoriach filozoficznych lecz nie dotarł do Jego realności. Wytężał swoje siły, ale nie osiągnął celu — a oto teraz stoi przed rzeczywistością Boga.

Jest ona rozświetlająca, ogrzewająca. Daje doskonałą pewność, daje ogarniający wszystko spokój i radość, która nie podlega uwarunkowaniom bytu ziemskiego. Pascal, który dla wszelkiego poznania wymagał oparcia o doświadczenie, który żądał maksymalnie naukowego stosunku wobec badania rzeczywistości i który rzeczywistość ziemską zamknął w doświadczeniu i rachunku, a człowieka w obserwacji i analizie — stanął oto przed rzeczywistością Żywego Boga.

Tu docieramy do sedna, do sprawy najistotniejszej, do tych dziwnych zdań:

„Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakuba,
nie filozofów i uczonych...
Bóg Jezus Chrystus".

Co te zdania oznaczają?

Trzeba całą duszą angażować się w trud poznania, trzeba czuć się nieszczęśliwym, jeśli nie jest nam danym dopracować się zrozumienia pojęć filozoficznych i trzeba odczuwać radość, jeśli przemawia do nas ich treść, aby móc zrozumieć co oznaczają te słowa wypowiedziane przez Pascala. Weszło już dzisiaj w zwyczaj powszechny podkreślanie, że Bóg, Bóg życia chrześcijańskiego jest kim innym niż Bóg, o którym mówi filozofia. Od czasu, gdy wyraził to z tak niesłychaną wnikliwością Sören Kirkegaard, człowiek, którego upadek teologii liberalnej i filozofii religii wysunął na czoło i uczynił w swoistym tego słowa znaczeniu modnym, wielu powtarza to za nim, ale bez specjalnego przekonania. Trzeba mieć prawo do mówienia takich rzeczy. Kto chce dla siebie to prawo zdobyć musi wejść w żmudny trud myślenia filozoficznego. Musi starać się o jasność i głębię rzetelnego poznania rozumowego, o ostre i adekwatne rozróżnianie pojęć, o wewnętrzną potrzebę przeniknięcia rzeczywistych praw i istoty bytu. Oto co Anzelm z Cantenbury określił mówiąc, że poznanie oznacza nic innego jak „rozumienie, iż nic nie może wydawać się inne niż jest". Musi wreszcie doświadczyć na sobie niecierpliwości pasji poznawczej, musi przynajmniej zrozumieć, że można wierzyć, iż matematyka ze swoją surową precyzją jest właściwie rzeczywistym poznaniem. To wszystko trzeba posiąść, aby pojąć niezwykłość tego chrześcijańskiego stwierdzenia filozofa i matematyka, że Bóg jest Bogiem „nie filozofów i uczonych" lecz „Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba".

Co więc oznaczają te słowa?

Kim byłby ów „Bóg filozofów"? Tym, co rozumie się pod nazwą absolutu, do czego można dojść czy przez przemyślenie rzeczywistości zewnętrznej, czy przez analizę wewnętrznych doświadczeń, czy przez poznanie świata logiki i wartości czy też w jakiś inny sposób. A więc Bóg, byłaby to „Pierwsza Przyczyna", „Najwyższa Istota", „Idea Absolutna", „Prawo Wieczyste" itp. Cechą charakterystyczną tych sposobów pojmowania Boga jest to, że usiłują one określać Go w całkowitej niezależności, w oderwaniu od wszystkiego, co mogło by w jakimś sensie być ograniczeniem, uczłowieczeniem, ukazaniem Go na tle wymiarów naszego świata i naszego czasu.

Na czym polega wstrząsające odkrycie Pascala? Co obdarzyło go tak obezwładniającą radością? Kto jak kto, ale Pascal potrafił zrozumieć co znaczy dążenie do czystego, precyzyjnego określenia pojęcia Boga. Obcą mu była dzisiejsza drażliwość słabeuszy, którzy sądzą, że dla religii jest w jakiś sposób groźna dążność do ujmowania jej spraw w kategorie pojęciowe. Pascal nie był wierzącym „z uczucia". Ale to jego własne doświadczenie, własne przeżycie ukazało mu, że Bóg jest „Bogiem Abrahama, Bogiem Izaaka, Bogiem Jakuba, nie filozofów i uczonych", że jest on „Bogiem Jezusem Chrystusem". To znaczy: Bóg jest osobą.

Bądźmy jednak ostrożni. I to mogłoby być rozumiane „filozoficznie". tak jednak nie jest. Nie chodzi tu w żadnym wypadku o to, że Bóg jest osobą absolutną czy „osobą w ogóle", lecz chodzi o to, że On jest Tym, który jest taki a nie inny. Tu tkwi sedno sprawy.

Jeśli człowiek wychodzący z przesłanek bezwzględnego, absolutnego myślenia mówi „Bóg jest Ten", wtedy ma to specjalne znaczenie, albowiem to, co uprzednio chronił w kręgu pojęć odciętych od wszelkiej granicy skończoności, a powstałych w sferze kosmologii, ontologii lub czystych idei teraz ośmiela się włączyć w orbitę tych pojęć, które wyrastają ze skończoności losu ludzkiego, z rozróżnień losów ludzkich, z przeciwstawienia „ja i ty". Dawniej wzdragał się przed tym. Przecież na tym polegało uprzedzenie „filozofa" wobec myślenia religijnego, że było to myślenie antropomorficzne. Dlatego właśnie odwracał się od niego w imię pojęć czystego absolutu. Cóż więc się stało, że Pascal owo załamanie się wyłącznie z filozoficznego myślenia o Bogu przeżywa z tak wielką radością i świadomością, że dopiero teraz gdy wszedł w krąg pojęć „antropomorficznych" stanął przed tym, co najistotniejsze? Na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź, ta którą nam przekazał sam Pascal: ponieważ danym mu było zetknąć się z żywym Bogiem. Ponieważ ten Bóg jest taki, że jeśli chce się mówić o Nim prawidłowo, mówić trzeba jako o osobie: On przychodzi, On działa, On mówi. Ponieważ wyszedł mu naprzeciw Bóg jako osoba, jako Ten a więc było to spotkanie, o którym opowiadać można tylko tymi słowami jakie znajdujemy na każdej stronie Pisma Świętego.

„Jam jest, który jest" — powiedział Bóg w najważniejszej godzinie o samym sobie („Exod. 3, 14). On jest Ten, który jest niezależnym Samym Sobą, którego losu nic nie może zmienić, nawet pojęcie absolutu. Wszelkie pojęcia mogą powiedzieć tylko część prawdy o Nim. Nigdy nie wypowiedzą Jego samego. On sam przerasta każde pojęcie. I tylko od Niego zależy czy się ukazuje. Tylko wtedy można Go ujrzeć, gdy wyjdzie nam naprzeciw. Można o Nim mówić tylko wtedy gdy On sam zacznie rozmowę i można mówić tylko to, co On sam o sobie powiedział.

To spotkanie z Bogiem dokonywa się nie w jakiś ogólnie określony, dający się scharakteryzować sposób, nie wynika z jakichś wysiłków ludzkiej myśli, lecz jest objawieniem się Boga w historii: przez posłanych zwiastunów, przez wypowiedziane słowo, przez konkretne wyrażenie. Jest On „Bogiem Abrahama, Izaaka, Jakuba", a więc mężów, którzy żyli w określonym czasie, w konkretnym kraju, w kontekście konkretnej sytuacji historycznej. A jednak „złością i głupotą" wydaje się dla umysłów zasklepionych w myśleniu wyłącznie filozoficznym przyjąć ów widoczny związek absolutu z konkretną materią historyczną.

tł. H.P.

Fragment szkicu o Pascalu umieszczony w antologii „Wirklichkeit und Wahrheit, Einblick in die Arbeit des Verlags Jakob Hegner", Leipzig 1937, s. 46—53.

Drogi Niemiec

(Dokończenie ze str. 1)

wo rządzącej przyjmowana jest przez resztę społeczności narodowej. Stąd można stwierdzić, że nie tylko państwo — co jest rzeczą oczywistą — ale i naród ma historycznie określony charakter, klasowy.

Wiadomo z jakich przyczyn klasowych zjednoczony przez mieszczaństwo naród niemiecki musiał stoczyć się w imperializm i wiadomo też dlaczego dzisiaj w NRD klasa robotnicza i jej przedstawicielstwo przekształca oblicze narodu niemieckiego.

Jest rzeczą jasną, że dynamika rozwoju klasowego dzisiejszych Niemiec leży na linii reprezentowanej przez N.R.D. Istotną bazą niemieckiej klasy robotniczej są Niemcy zachodnie; naturalni jej sojusznicy w walce przeciwko wojnie — chłopstwo, inteligencja i postępowe koła mieszczańskie są wielkim potencjalnym czynnikiem politycznym w Republice Związkowej Adenauera. Z tych względów zjednoczenie Niemiec na zasadzie demokratycznej musi doprowadzić do poważnych przesunięć klasowych w Niemczech zachodnich. Źródłem optymizmu i przekonania, że cały naród niemiecki znajdzie drogę do rodziny narodów pokojowych nie może być dzisiejszy stan umysłów w Niemczech zachodnich ani nawet dotychczasowe sukcesy wychowawcze N.R.D. Optymizm zyskujemy dopiero wtedy gdy na przyszłość Niemiec spojrzymy z perspektywy klasowych doświadczeń historii. Zjednoczenie Niemiec w XIX wieku musiało oddać władzę w ręce mieszczaństwa, zjednoczenie Niemiec w XX wieku musi w perspektywie czasu przynieść zwycięstwo niemieckiej klasie robotniczej. Droga do niemieckiego państwa ludowego jest równie niewątpliwa jak swego czasu do państwa mieszczańskiego. Dla narodu niemieckiego, dla jego sąsiadów i dla całej Europy oznacza to szansę trwałego pokoju na naszym kontynencie i szansę uniemożliwienia trzeciej wojny światowej. Oznacza to ponadto szansę włączenia potężnych sił ludzkich i ekonomicznych całych Niemiec w pokojową gospodarkę świata a tym samym przyspieszenie wzrostu stopy życiowej we wszystkich krajach. Oto dlaczego wielkie zmagania polityczne, których terenem są dziś Niemcy w poważnym stopniu decydować mogą o przyszłości świata, o przyszłości Polski i losie każdego z nas.

d.e.n.

Dominik Horodyński

Zenon SKIERSKI

OSTATNIA WIECZERZA

OTO uczniowie: stoją wzdłuż stołu, po sześciu z każdej strony, wpatrzeni w Chrystusa, zaskoczeni, jeszcze nie rozumiejący dokładnie dlaczego umył im nogi i jaki sens mają jego słowa o zdradzie Nie przeczuwają nawet, co im za chwilę powie, nie przeczuwają również, dla czego będzie łamał chleb i błogosławił wino...

A Jezus? W białej szacie, miękko rozchylonej i gładkiej, stanął właśnie przy stole, w głębi izby, między Judaszem i Janem. Już odszedł od niego ten nagły lęk, smutek i wzruszenie ogromne, że oto spełnia dobrowolnie to, czego chce Ojciec jego...

Ledwo wymówił pierwsze słowo modlitwy, gdy niepojęta, przemożna siła tak go natchnęła, że wyzbywszy się cielesności, uniósł się lekko, zawisnął nad ziemią, pociągając za sobą uczniów. Święte, przenikające promienie spadły na nich, wytrzebiły z nich ociężałość, doczesność ciał i oto apostołowie porwani boskością unieśli się za swym Mistrzem. Ciała szarpnięte niepojętym podmuchem, spojrzenia i ramiona uniesione w górę, głowy przechylone, dłonie zatrzymane trwogą — cud w tym momencie w nich wstąpił, by dać im jeszcze raz poznać Chrystusa i jego posłaną moc. Jasność, która ich przeszyła, odebrała im tak dalece materialność, że szaty ich stały się przejrzyste jak szkło i miękkie niczym mgła, ciała jednak przewiane blaskiem i nieziemską lewitacją, nie pozbyły się mimo to barw i wymiarów. W uniesieniu ramion, w złożeniu dłoni, odsłoniły się kształty ludzi, potężne, męskie ciała, inne chude i kościste, wreszcie inne starzejące się.

Piotr stojący po prawej, tuż przy krawędzi stołu, stary rybak o siwiejącej brodzie, obnażył swe nagie biodra i chude, żylaste ramiona. Zwrócony bokiem w gwałtownym ruchu, z twarzą wyraźnie skierowaną do Nauczyciela, szeroko, żarliwie rozłożył ręce: zaraz zacznie się modlić. Jego szata czerwona i przejrzysta niby parujące wino spływa mu luźno wzdłuż pleców, kiedy tak patrzy wzrokiem wiernym w Chrystusa, tym wzrokiem, który mówi: „Panie, czemuż teraz iść za Tobą nie mogę? Duszę moją za Ciebie oddam!"

Za nim Andrzej, brat jego, o ciemnej, opalonej słońcem skórze. Zaledwie tors jego widać znad linii stołu i kilka fałd świetliście błyszczących prostej, granatowej tuniki. Andrzej wydaje się dziecięco pokorny, oddany tej chwili bez oporów; skupienie wewnętrzne udzieliło się ciału tak, że Andrzej ze złożonymi rękoma i pochyloną głową zdaje się wyślizgiwać z rzeczywistości dotykalnej.

Natomiast Szymon, poderwany raptowną siłą, jakby szarpnął się do tyłu, zaskoczony w najwyższym stopniu. Szara, lniana toga powtarza za ciałem ruch, bardziej jednak spiętrzony, narastający plamami szaty. Stopy apostoła płyną w powietrzu jak w wodzie, tuż nad gliniana polepą izby. Prawa ręka Szymona wyrzucona nad głowę, jakby chwytał coś w locie, lewa pytająco zwrócona do Chrystusa. Włosy mężczyzny spadają na kark w kruczych, niespokojnych kędziorach.

Bartłomiej ma mocne, żylaste ramiona, nieco drętwo opuszczone wzdłuż ciała. Uniósł się z trudem, niemal opornie Głowę przechylił nieznacznie. Rysy jego oblicza są tak zwarte, że aż surowe i nie łagodzi ich bynajmniej refleks szaty apostoła, brązowej i połyskliwej niczym świeżo zorana ziemia.

Jakub Młodszy o lśniących, jasnych włosach, z rękoma skulonymi na piersi, jakby w nich chował jakiś święty znak, ma płaskie prawie nieudolnie ulepione ciało i zwięzłe biodra, opasane zaledwie lekkim seledynem ciśniętych w powietrze fałd.

Za nim stoi Jan, ulubieniec Mistrza. Jan to patos dynamiczny, rozrzucony w gestach ramion i zgięciu popędliwych, mocnych palców, wyrastający z rozmachu młodego, silnego ciała. Fioletowa, jak śliwa toga zsunęła mu się na prawe ramię i oto śmigłe niby sosna członki wnoszą w skupioną ciszę wieczerzy masywny rozruch. Przecina on nie tylko linię stołu i umieszczonych za nim mężczyzn, ale obnażając całą, mocną postać apostoła — daje tej chwili jakąś ludzką moc, jakże inną od tej, która promieniuje z białej szaty Chrystusa. Jan obrócił oczy, popędliwe spojrzenie człowieka gwałtownego, na swego Mistrza. Nie ma jeszcze w tym wzroku niepokoju pytania, jakie w lęku przed zdradą zada niebawem drogiemu Nauczycielowi: „Panie, czy to ja?"

CHRYSTUS centralnie umieszczony na przedłużeniu stołu, uniósł ręce o wąskich, miękkich dłoniach, spojrzał w górę wzrokiem, który przyzywa świadectwo Niebios „Ojcze nasz, przyjm tę naszą chwilę i te słowa, które przed Tobą wymawiamy". Twarz wąska, blada, skupiona, jest teraz pełna wyrazu uległości i zrozumienia spraw, których wiedzę już w sobie nosi. Głęboki człowieczy smutek i pokorne poddanie się wielkiemu wyrokowi maluje się w tych oczach uniesionych i pełnych wymowy, w czole gładkim, lecz już osaczonym cierpieniem, w splotach czarnych włosów spadających na ramiona. Wargi, ukryte nieco w zaroście, wymowne i piękne, rozchylone słowami modlitwy, ale już w kątach ścięte poczuciem samotności. Jakże wątłe jest to ciało, dziwnie jasne i matowe zarazem, muśnięte zaledwie śladem białej szaty, która spływa po bokach. Biel przejęta światłością rysuje jakby aureolę wzdłuż tych członków drobnych, a tak wymownych, i — rzecby można — narasta wokół postaci niby lekki obłok. Wrażenie jest tak silne, że aż niepokojące. Coś wielkiego, nie uchwytnego a przenikającego bije z tych szczupłych dłoni rozstawionych modlitewnie, z ramion spadzistych, z drobnej klatki piersiowej i tego fragmentu nóg, które — jak i reszta ciała — tracą niemal zupełnie swoją materialną wymowę. Coś jaśnieje z tej postaci, jest w niej coś ogromnego aż do lęku. Wrażenie jest tym dziwniejsze, że całą postać osnuwa zarazem jakieś ciepło, obrysowuje rozgrzaną linią włosy, twarz i ręce — i gdy się wreszcie zrozumie, co to jest, wprost zaskakujące staje się to odkrycie: przecież to świata zachodu, które wpływa poprzez szeroko otwarte na ganek drzwi. Tam za wzgórzami pełnymi zagajników sosnowych zapada promień słoneczny, ale niebo jest jeszcze żywe od blasku, niebo drga radością życia, i stoi w zasobnym błękicie, mocne od tej wielkanocnej wiosny, która wlewa się przez drewniane drzwi i jakby pełne przekosów ptaszęcych pieśni wieczornych.

Cóż to za ostra, żółta barwa pali się obok Chrystusa? Jej gęstość i materialność bije nagle z zespołu tych delikatnych barw i przesianych duchem ciał, niczym gorzki, gryzący płomień w błogie świetliste powietrze. To Judasz.

Judasz o ostrych rysach twarzy, urzekająco, rozpaczliwie pięknych jak u drapieżnego ptaka, obserwuje uważnie Jezusa. Właściwie już nie chce, już nie może się modlić i jego szeroko rozłożone ręce, którymi nieomal dotyka szaty Chrystusa, nie odkrywają w nim już żadnej walki. Gdybyż ten gest modlitewny miał w sobie tragedię zmagania! Gdyby Judasz chciał się modlić i gdyby z tej wrogiej postawy choć na moment wybuchło pragnienie wejścia w tę świętą chwilę! Ale Judasz nie może niestety wznieść się na wyżyny tego przeżycia, nie dotknął go świetlisty blask bijący z białej postaci — dlatego też nie może się wyzbyć cielesności i unieść, jak inni apostołowie. Judasz nie wyczuwa nawet tej dramatycznej oporności własnego ciała, nie przeciwstawia się już upadkowi, jaki właśnie dokonuje się w nim. Dlatego on sam ze złym smutkiem w ostrej, gorzkiej twarzy, z krzykiem niemocy w rostawionych dłoniach, w zjadliwym nasyceniu swej szaty, która go jeszcze bardziej przywraca cielesności, ten Judasz osadzony na pustym, ciemnym tle izby — budzi wprost przerażenie! Czy Mistrz już wie o tym kłamstwie, o tym opętaniu? Już wie, wie od roku. Za chwilę powie mu: „Czyń, co masz czynić" — i Judasz wyjdzie w ciemną ciepłą noc, aby nie spostrzeżenie prześliznąć się wśród krętych uliczek miasta i wejść do domu kapłanów. Ta szata, ostra, jak żółć zabitego zwierzęcia, ma w sobie drapieżność i nienawiść.

Nie łagodzi jej wrogości błękitna niczym oddech nieba, niedostrzegalna prawie tunika Jakuba Starszego. Ten apostoł przegięty w ruchu, widziany tylko z profilu, jakby wycofuje się pokornie z obrębu blasku wionącego od kruchej postaci Jezusa, odsuwając się zarazem nieznacznie z żarłocznych fałd Judasza. Jest on wąskim wycinkiem ciała wciśniętego powściągliwie w tę potężną, wieczną chwilę, która ledwie objąć zdoła swym zamyśleniem.

Mateusz jest całkiem zwrócony w stronę Chrystusa. Twarzy jego nie widać prawie w ruchu zmierzwionych, kędzierzawych włosów, ale ów lekki zarys policzków mówi nieskończenie wymownie o przeżyciu tego człowieka. Wszak to on przecie był celnikiem, człowiekiem pogardzanym, który na słowa Nauczyciela: „Pójdź za mną!" — wstał i poszedł. I teraz jest tu, razem z nim, jak z królem niepojętym, oblany tą nieogarnioną mocą, która go przenika tak, że Mateusz zląkł się wprost i jedną rękę wysunął w stronę Mistrza, jak by oślepiony przeszywającym go światłem. Pochylił się znagła oderwawszy stopy od gliny polepy i tylko zarys szerokich piersi, uniesionych trwożliwym oddechem wyraża jego przynależność do osób żywych. Siwo-różowa, opalizująca szata zarzucona przez ramię spada aż do ziemi i niknie w tym przebóstwieniu ostatniej godziny, żyjąc zaledwie w załamaniach i fałdach, poza tym jest czymś tak przypadkowym, że jędrne i szerokie ciało apostoła nie słabnie w żadnym szczególe tego żywotnego ruchu.

Dwa rytmiczne przegięcia zaznaczone plamami głów, to Filip i Tadeusz. Ametystowa i modra smuga wygładzają zarysy ich postaci. Pierwszy wyciągnął prawą rękę do stołu, jakby chcąc przytrzymać się jego krawędzi. Tadeusz zaś w momencie unoszenia się dźwignął niesymetrycznie dłonie przecinając nimi brzuch i żebra, twarz uniósł w górę w pierwszym słowie modlitwy. Postać jego widać zaledwie fragmentarycznie, jego tunika przebłyskuje tylko gdzieniegdzie barwą klarowną, zasłonił go bowiem częściowo, stojący najbliżej i naprzeciw Piotra — Tomasz.

Tomasz nie ma w sobie nic z patosu. Ma zwartą, powściągliwą budowę, jest ekonomiczny w geście, i na pozór oddany wyłącznie kolorowi swej zielonej tuniki. Jest skupiony i jakby trochę nieufny. Nie wiele dni minie, a Tomasz powie: „Nie uwierzę, póki nie dotknę rany jego, a palca mego nie włożę w bok jego". A Piotr? Za kilka godzin zaledwie, zanim zacznie gorzko płakać, powie o Chrystusie: „Nie znam tego człowieka". Te dwie postacie, tak przeciwne sobie, popędliwe i zwarte, wyrażają całą treść ludzkich upadków; strach i zwątpienie. Wypowiadają zarazem całą mądrość ludzkiego zmagania: strach i zwątpienie zmieści się w każdym z nas...

Ale Tomasz zwarciem swej postaci podkreśla razem z Piotrem przedziwną treść tej chwili. Modlitwa i moc, która unosi teraz żywych ludzi, przepływa przez każdego inaczej, wydobywa uczucia, wiarę i zwątpienie coraz to inaczej, wreszcie modeluje wszystkich gra szat tak zwiewnych i rytmiką gestów tak rozmaitych, że wypełnia nimi cały wieczernik, zatrzymując się dopiero na prostych heblowanych bierwionach stołu. Te ruchy apostołów porywają za sobą wszystko i prowadzą nieuchronnie oczy w głąb, do drobnej, małej postaci w białym obłoku szaty, z której — jak z lampy cudownej — biją przenikające promienie. Zachód czerwony, w niebieskich, szarzejących smugach osadza ją jeszcze raz w szeroko otwartych w wiosnę drzwiach izby tak prostej, że belki jej stropu, niemalowane zydle i bielone, siwe ściany zdają się czymś nieważnym i wtórnym.

Tylko stojący za wzgórzami purpurowy blask nakrywa ten moment czymś niewypowiedzianie lekkim. Ale gasnąc na wyniosłościach falujących niczym pastusza piosenka, na zagajnikach i świerkach rosnących samotnie — przybliża zarazem wszystko do nas i napełnia czymś tak swojskim, jakby ta ostatnia wieczerza działa się wśród nas wczoraj, w rozkołysanym krajobrazie Podhala.

Z PRAC POZNAŃSKIEJ SEKCJI DRAMATU Z.L.P.

„ŻELAZNY PIERŚCIONEK"

Literacka dyskusja warsztatowa nad utworem dramatycznym ma bodajże, większe praktyczne znaczenie, niż analiza prozy artystycznej. Lektura dramatu zmienia się w pewnym sensie w próbę czytaną i zawczasu pozwala sprawdzić skuteczność pewnych rozwiązań, wartość układu scenicznego i t.p. Lektura prozy, nawet w formie surowej, jest od razu recepcją dzieła. Brak tu miejsca na czynnik pośredni, w pewnej mierze kontrolny, który w teatrze z natury rzeczy wciska się między twórcę i widza.

Ostatnie miesiące pracy Sekcji Dramatycznej ZLP w Poznaniu upłynęły pod znakiem analizy warsztatowej ukończonych i nieukończonych prac miejscowych pisarzy. Po niedawnej dyskusji nad opracowanymi dramatami J. Brudkiewicza i W. Maciejewskiego, w dniu 26.III br. fragmenty nowej sztuki czytała Janina Morawska. Autorka głośnego przed wojną „Sobowtóra" i innych dramatów, oraz licznych słuchowisk radiowych, znana na gruncie poznańskim z działalności w zakresie krytyki teatralnej, przedstawiła koncepcję, ciekawsze sceny oraz pełny tekst II aktu, trzyaktowej sztuki dla młodzieży pt. „Żelazny pierścionek".

Kanwę dla fabuły autorka zaczerpnęła z najmłodszej bodajże w Polsce, lecz już dojrzałej i bogatej w osiągnięcia, nauki humanistycznej — prehistorii. Dziwnym zrządzeniem losu do zapadłej i zaniedbanej wioski rybackiej nad jeziorem dociera archeologiczna ekspedycja naukowa. Sprawił to żelazny pierścionek, znaleziony w mule nadbrzeżnym przez sierotę, ofiarę wojny, wychowaną przez nieżyjącego już rybaka. Młoda dziewczyna, dzika i nieufna, mieszkanka nadbrzeżnego odludzia, zwana przez całą wieś Rybką, daje znaleziony pierścionek na pamiątkę narzeczonemu przed jego wyjazdem do miasta, do szkoły. Pierścionek trafia tam do pracowni naukowej. Prehistorycy dostrzegają w nim cenny zabytek. Okolice jeziora obfitują w wiele podobnych okazów. W domu Rybki, która mieszka ze stuletnią staruszką przybraną babką, wodę czerpie się znalezionym kubkiem z okresu wczesnohistorycznego. Mieszkańcy wsi rąbią na opał pale, wyciągnięte z jeziora, nieświadomi, że niszczą palisadę obronną dawnego grodziszcza. Ekspedycja staje przed zadaniem nie tylko rozpoczęcia wykopalisk, lecz również przed ratunkiem rozproszonego materiału naukowego, a nade wszystko przed przełamaniem nieufności wsi, niewiedzy i niechęci wielu jej mieszkańców. Mobilizuje ją skrycie dawny dzierżawca jeziora spekulant, który uprawia nielegalne połowy przy pomocy najlepszej rybaczki we wsi — Rybki. Z chwilą przybycia ekspedycji do wsi i wstępnych poszukiwań, po chatach rozbiega się pogłoska o skarbach, ukrytych w pagórkach na wybrzeżu, budząca zamieszanie i chciwość.

W czasie prac, młodzieńczy zespół naukowy, nie tylko wrasta w wiejskie środowisko: orze i drąży nie tylko w mulistej ziemi na brzegu jeziora, lecz i w pełnych przesądów i nieufności umysłach. Powoli coraz więcej osób dochodzi do zrozumienia czym są naprawdę skarby, ukryte w ziemi, jakie wartości zatopionej wsi niesie pomoc miasta.

Centralną osią fabuły jest obłaskawienie hardej „dziczki jeziornej", Rybki i jej miłość, zazdrosna o związki i przyjaźń chłopca z ludźmi, którzy bezceremonialnie panoszą się nad jeziorem, poszukiwaczami starych skorup. Perypetie, uczucia i ciekawość wciągają i ją w pracę młodej gromady.

Zjawisko poszukiwań i pieczołowitego odgrzebywania śladów zamierzchłych Kultur nabiera obecnie, w związku z szeroką akcją badań nad początkami Państwa Polskiego, charakteru zjawiska typowego. Dziw, że do tej pory nikt z dramaturgów nie sięgnął po ten temat świeży i stwarzający nieograniczone możliwości dla wyobraźni autorskiej. Związek nauki z życiem, dramaturgia współczesna ukazała niemal wyłącznie na odcinku produkcyjnym. Dobrze się jednak stało, że odkrycie badań wykopaliskowych jako tematu scenicznego, nastąpiło w Poznaniu, związanym ściśle z początkami naszej prehistorii i jej pionierem, prof. J. Kostrzewskim.

Sztuka w formie jeszcze surowej, roboczej wywołała szereg uwag krytycznych, m.in. co do układu i tempa akcji, obaw co do możliwości zmieszczenia wielkiego materiału faktycznego w ramach trzyaktowego przedstawienia, dostosowanego w czasie do chłonności młodych widzów. Cennym sprawdzianem dla autorki była żywa reakcja słuchaczy na walory dzieła: wartki plastyczny język, rysunek postaci, o dobrze podpatrzonych w szeregu przypadków rysach folklorystycznych, a wreszcie pokaźny ładunek humoru, zharmonizowanego z akcją.

Odczytane fragmenty „Żelaznego pierścionka" zdają się zapowiadać utwór żywy, o niemałych walorach scenicznych, znacznej wartości popularyzatorskiej i wychowawczej bez dydaktycznych deklaracji, za to z dużą dozą wesela i optymizmu, a więc utwór, jakich w repertuarze teatralnym nigdy za dużo nie było.

Leszek Prorok

Barbara MAŃCZAKOWA

Z DYSKUSJI NAD RODZINĄ

NIE MA KRYZYSU

ROZPOCZĘTA przez nas artykułem W. Żuromskiej: „Czy kryzys rodziny?" dyskusja wywołała duże zainteresowanie wśród Czytelników. Do redakcji napływają wypowiedzi, dające wiele cennego materiału, rozszerzające problematykę o nowe, ważne elementy. Zamieszczamy najbardziej wartościowe i charakterystyczne [1]).

Drukowana w obecnym numerze wypowiedź p. Barbary Mańczakowej, naświetlając problem przemiany rodziny od strony ich klasowego i historycznego uwarunkowania, zajmuje się specjalnie zagadnieniem matki pracującej zawodowo.

W obszernym artykule „Czy kryzys rodziny?" (Dziś i Jutro z 9.III. 1952 r.) Wanda Żuromska wzywa do dyskusji na temat, czy w dzisiejszych czasach przeżywamy upadek życia rodzinnego, czy jedynie zanikanie jednej z przemijających form tegoż życia, przy czym autorka podziela drugi punkt widzenia. Podaje ona dwie przyczyny rzekomego czy nierzekomego kryzysu rodziny: pracę zarobkową kobiet, które nie oddają się już jedynie i wyłącznie swym obowiązkom żony i matki, oraz „rozproszenie przestrzenne rodziny". W. Żuromska ma tu na myśli tak wyjazdy złączone z pracą zarobkową jak przede wszystkim długotrwałą nieobecność młodzieży wyjeżdżającej do innych miast na studia. W wypadku pracy zarobkowej kobiet jak i wyjazdów członków rodziny chodzi zarówno o nieobecność w znaczeniu fizycznym jak i psychicznym: zakres zainteresowań i przeżyć członków rodziny rozszerza się na teren pracy zarobkowej, społecznej, naukowej itp.

W. Żuromska podkreśliwszy doniosłość zagadnienia szczególnie ważnego dla katolików ze względu na sakralny charakter małżeństwa stwierdza w ostatecznej konkluzji, że nie mamy do czynienia z kryzysem, a więc upadkiem, ale z przeobrażeniem życia rodzinnego, które musi nastąpić na skutek dokonujących się zmian w stosunkach ekonomicznych i społecznych.

Wychowawcza rola rodziny, a przede wszystkim matki, polega nie tyle na udzielaniu konkretnych uwag i wskazówek, ile na stworzeniu odpowiedniej atmosfery będącej wynikiem moralnej postawy członków rodziny, a więc niezależnej od mniejszej lub większej ilości wolnego czasu, którą oni dysponują.

Wydaje się, że zagadnienie w powyższy sposób przedstawione przez W. Żuromską należałoby przede wszystkim umiejscowić historycznie i szczegółowo określić klasowo. Chodzi o to, od kiedy datuje się i kogo dotyczy owo rozproszenie rodziny i wyjście matki poza tzw. „ognisko domowe". Autorka uważa tę sprawę za zagadnienie chwili bieżącej złączone z przemianą ustroju burżuazyjnego w socjalistyczny, zaś socjalnym umiejscowieniem problemu nie zajmuje się w ogóle.

RODZINA W PRZEKROJU HISTORYCZNYM I KLASOWYM

JEŻELI sięgniemy do przeszłości, to w klasie szlacheckiej ujrzymy kobietę zajętą wyłącznie sprawami domu, ale już nie zajmującą się wychowaniem synów, których jak wiadomo odbierano jej, gdy ci kończyli 7. rok życia. Trochę inaczej rzecz miała się z rodziną mieszczańską, choć i tam młodzież wyjeżdżała na naukę rzemiosła nie rzadko i poza obręb swego kraju. W obu typach rodzin decydował autorytet ojca, który wymagał od żony i dzieci bezwzględnego posłuszeństwa. Jedynie rodzina chłopska nigdy nie rozstawała się z domem rodzinnym, ale rozwój jej życia był prawie uniemożliwiony całodzienną pracą ojca, matki i nieletnich dzieci.

W ten sposób sytuacja przedstawia się mniej więcej do końca XVIII w., przy czym już od w. XVII w bogatych rodzinach szlacheckich wychowaniem dzieci, od najmłodszych lat zajmuje się służba. Dzieci z rąk mamki przechodzą do rąk niańki, następnie guwernantki czy guwernera, a z rodzicami stykają się tylko od czasu do czasu. Karykaturą takiego stanu rzeczy była historia opowiadana o Lafontaine'ie, który dopiero na przyjęciu poznał się ze swym dorosłym synem.

W w. XIX miejsce feudalizmu zajmuje kapitalizm, na arenę dziejową wchodzi klasa robotnicza. Społeczeństwo od tej chwili dzieli się już tylko na dwie klasy: burżuazję i proletariat. Rodzina burżuazyjna kontynuuje tradycje rodziny feudalnej: ojciec przynosi do domu pieniądze, a matka zajmuje się wychowaniem dzieci i prowadzeniem gospodarstwa, przy czym zajęciom tym oddaje się bardziej wyłącznie niż dawniej szlachcianka, którą mimo wszystko w dość dużej mierze absorbowało gospodarstwo wiejskie. Rodzina proletariacka podobnie jak chłopska pracuje od świtu do nocy w czasie nieograniczonego dnia pracy, przy czym pracują ojciec, matka i dzieci, o ile oczywiście uda się im znaleźć pracę.

Zmiany, jakie przyniósł ze sobą ustrój socjalistyczny, są powszechnie znane, toteż nie będziemy ich omawiać. Chodzi nam tylko o to, by wykazać, że „wyjście kobiety z domu" czyli zajęcie się pracą zarobkową i społeczną żony i matki jest nowością tylko dla pewnej ściśle określonej grupy ludzi oraz że datuje się ono i od ściśle historycznie określonego czasu.

Równocześnie nie są nowością wyjazdy młodzieży na studia, obecnie nawet są one może mniej liczne niż dawniej, bo chociaż liczba uczących się w szkołach średnich i studiujących na wyższych uczelniach niepomiernie wzrosła, to jednak równocześnie ogromnie powiększyła się ilość szkół po wsiach i mniejszych miastach.

WYCHOWANIE MŁODEGO POKOLENIA

A więc zagadnienie nieistotne? Bynajmniej. Ilościowo wprawdzie ograniczone, tym niemniej dla tych, dla których jest aktualne, niesłychanie doniosłe i dlatego na pewno warto się nad nim zastanowić.

Najważniejszą funkcją rodziny jest wychowanie młodego pokolenia oraz wzajemna pomoc małżonków. Chodzi o to, czy i o ile gorzej wypełniane są owe czynności, jeżeli matka nie tylko zajmuje się się swoją rodziną, ale i pracą zarobkową.

W pierwszej chwili wydaje się, że matka przebywając cały dzień w domu bez porównania lepiej potrafi wychować swoje dzieci oraz pomóc mężowi, niż spędzając codziennie 8 godzin poza domem. Ale gdy wnikniemy w głąb zagadnienia może sprawa nie będzie się przedstawiała tak prosto. Kobieta zajmując się wyłącznie gospodarstwem i dziećmi albo posiada niekwalifikowaną pomoc, którą obarcza większą częścią swych zajęć, albo jeżeli wykonuje wszystkie czynności sama, cały dzień spędza tylko z dziećmi i garnkami, jest niesłychanie zmęczona, a przede wszystkim znudzona i wyczerpana psychicznie tą najgorszą ze wszystkich prac, pracą domową. W pierwszym wypadku wychowanie dzieci spoczywa w ręku osoby przeważnie nieodpowiedniej a nadto uczuciowo niczym nie związanej. W drugim wypadku przemęczona i znudzona matka, zapracowana przy odrabianiu wszystkich czynności złączonych z fizyczną stroną wychowania, rozwojem psychicznym dziecka nie ma ani czasu, ani ochoty się zająć.

Kobieta pracująca natomiast, będąc połowę dnia poza domem, dzieci przeważnie oddaje do żłobka, następnie do przedszkola, a wreszcie do szkoły, ale wracając do domu wkłada maksimum wysiłku w zajęcie się dzieckiem, za którym jest stęskniona. Dalej, odciążona stołówką, żłobkiem czy przedszkolem od większości zajęć gospodarskich, może daleko intensywniej poświęcić się pracy nad moralnym i intelektualnym rozwojem dziecka.

Tylko że wiadomo jak wielu mają przeciwników żłobki i przedszkola, ale czy nie miała ich również szkoła? Ludzie z trudem przyzwyczajają się do nowych instytucji. Nie takie dawne są jeszcze czasy, gdy wydawało się, że nauczyciel prywatny, który zajmuje się tylko jednym uczniem, lepiej potrafi go nauczyć, niż taki, który równocześnie uczy kilkadziesiąt dzieci. Tymczasem praktyka pokazała coś wręcz przeciwnego.

Poza problemem wyłącznie technicznym istnieje poważna i zasadnicza sprawa współpracy wychowawczej między domem a daną instytucją społeczną. Przyczyną kontliktów, jakie na tym terenie mogą zachodzić i niewątpliwie zachodzą, jest brak dostatecznego wysiłku i dobrej woli, aby ta współpraca rozwijała się harmonijnie, co leży zarówno w interesie społeczeństwa, jak dobra jednostki i jej rozwoju osobowego.

Matka pracująca zarobkowo, oddająca na czas swej pracy dzieci do żłobka, a później do przedszkola, czy szkoły, nie tylko że nie traci nad dzieckiem swego wpływu — ale nadto potrafi go lepiej wykorzystać niż matka przebywająca cały dzień w domu, ponieważ w swoje funkcje wychowawcze wkłada więcej wysiłku i energii.

Reasumując powyższe uwagi, dochodzimy do tego samego wniosku co W. Żuromska: *kryzys rodzinu, o którym się dzisiaj mówi, nie istnieje, a sugerowanie, że istnieje, jest tylko obawą przed nowością i przed ostatnim etapem emancypacji kobiet.*

Pozostaje więc odwieczne zagadnienie, tak zawsze istotne dla katolików, odpowiedniego nastawienia rodziców, by z całą odpowiedzialnością i zrozumieniem podchodzili do sprawy wychowania swoich dzieci. Nowym problemem jest natomiast sprawa zorganizowania na możliwie najwyższym poziomie żłobków i przedszkoli. Jest to w tej chwili palącą potrzebą nowoczesnego życia rodzinnego

[1]) Z. Marczak: „Drogi i rozdroża współczesnej rodziny" Nr 12/332. Ks. W. M.: „O życie religijne w rodzinach katolickich" Nr 16/334. S. Radziejowski: „Psychologia doboru małżeńskiego" Nr 17/335. S. Bakinowski: „Rodzina katolicka wobec nowej rzeczywistości" Nr 18.

Sprostowanie

Proszę uprzejmie o umieszczenie w jednym z najbliższych numerów Tygodnika następującego sprostowania:

W artykule pt. „Wielkie dzieło K. Szymanowskiego" zamieszczonym w numerze 16-tym „Dziś i Jutro" (20 kwietnia br.) zdumieni czytelnicy przeczytali zdanie, że „końcem muzyki jest rytm". Oczywiście powinno być: „kośćem muzyki jest rytm". Dopiero wówczas zdanie to ma sens i łączy się z przytoczonym w tymże artykule powiedzeniem Mozarta, że „melodia jest duszą muzyki". Powinno być również: „obrazy I i III są wybitnie nastrojowe" (a nie: „obrazy I i II jak mylnie wydrukowano!), oraz „tranquillo" a nie „tranquille".

W drugiej recenzji „Z Filharmonii Warszawskiej" należy „chce" poprawić na „chcę" aby uzyskać wierny cytat z listu Szymanowskiego, który brzmieć powinien: „jaką ja chcę widzieć w swoich marzeniach".

Z góry dziękuję i łączę wyrazy szacunku. *C. Krzewski*

Mikołaj BIESZCZADOWSKI

Kaprys wiedeński

Pamiętasz? Wczesna wiosna jak u Hofmannsthala
Idzie przez miasto niby przez zamarły ogród
I snuje opowieści o podmiejskich lasach
Już pochłoniętych szumem przelotnym jak młody
Żal pierwszych bladych westchnień. W wianku skromnych
[modlitw
Madonna bizantyńska ciemnieje na murze
Jak czarny płatek wielkiej, orientalnej róży
Rozżarzony litośnie. Niżej wychylone
Zza zielonych okiennic zmęczone dziewczęta
Całują wonne usta młodzieńczych narcyzów
I popołudnie schodzi po uliczkach krętych
Do rzeki jeszcze szarej, ale już niebieskiej.
Przez rozlewiska dachów święty Stefan płynie
W głąb anielskich obłoków. O wieżę wysmukłą
Zaczepiony ukosem krąg gołębich lotów
Melodyjny jak kwartet. Nad zwalonym głucho
Wdziękiem wytwornych domów, których nikt nie dźwiga
Przeciąga słodycz lipy. Miłość stąd odeszła
Zbyt, widać, była płocha, a może poległa
Przysypana popiołem mdłych, motylich wzruszeń.
Przyłóż ucho do cegieł — tutaj niepodległa
Biła czysta muzyka — serce miasta — słyszysz?
Cisza ciemne allegro gra o przemijaniu.
Przed zzieleniałym widmem spalonej opery
Dzieci sprzedają fiołki.
Czas się nie powtórzy.
Tylko czułość potrafi niekiedy na krótko
Zbudzić odległą porę. Prowadź mnie w zaułki
Gdzie jeszcze dawny czar w kamieniach echem mieszka
Gdzie krążą kroki szumnych, skocznych, śmiesznych
[marszów
A stare panny, wierne piastunki cesarstwa
Zielonookim kotom mruczą o Schönbrunnie
I melancholia walców dziewczęco się żali
Przez kogoś kołysana w mandoliny strunach.
Bezrobotni tu krążą. Nad zerwanym mostem
Przystają nasłuchując, czy w cichnący wieczór
Nie wzleci martwych syren znów zbudzony głos.
Dzieci przechodzą, milcząc, są jak lalki senne,
Jedno tylko przystaje zdziwione naiwnie
I broni się piosenką prostą a bezdenną:
„O mój miły Auguście — wszystko kiedyś minie".
Na lirycznych podwórkach chore katarynki
Plączą we włosy kobiet wyblakłe melodie.
Ach, czemuś mnie przywiodła tu, gdzie uśmiech płynie
Wolno jak łza — ku czasom pogodnym mnie prowadź,
W monarchię modrych snów, w różowe, słodkie spanie.
Wiatr pruje atłas stawów w bezdomnych ogrodach
I książęcym łabędziom strosży śnieżny puch,
Wiruje bal w pałacu, śmiech i brzęk kryształów.
Na dachach deszcz wydzwania con brio Mozarta
I przewraca niebacznie kruchą i podartą
Kartę zetlałej książki — wiązkę wątłych wiosen.
Niżej szeleszczą listy wysłane z miasteczka
Utopionego w nurtach galicyjskich słot
I płaczą fotografie w pękach piór i wstążek
Pośród przegięć zawiłych jak kapryśny krok
Świetnego kontredansa tanecznych okrążeń.
Tu zaręczyny pachną zmiętą białą różą
I ktoś srebrne lichtarze uwiózł stąd daleko
W dzień ślubu. Martwy urok oczu nie urzeknie.
Weź mnie stąd, ach wyprowadź za rękę muzyko
Skrzypiec małych i ciężkich jak serce. Z tak lekkiej
Lżejszej niż pizzicato melodii uwite
Miasto puste jak uśmiech śpiewało daremnie,
Gdy jakże nieprawdziwie, panieńskie i głupie
Gasło niebo nad tamtych dni bezradnym cieniem.
Nazbyt mądra piosenko, nie kłamiesz — przeminie
Karnawał, bal i walce cesarskie i róże.
Odjeżdżam w stronę miast prawdziwszych, Augustynie,
Tworzonych przez śpiew czystszy i na szczęście dłuższe.
Mijam twój czar. Przedmiejskich drzew wiosenna piana
Ogarnia welon winnic wiejący ze wzgórz.
Oto bukiet akacji jak namiot sułtana
Porzucony na polach skrzydlatej wiktorii
Ugina się od woni i długo w noc woła.
A niżej dom spokojny w chmurze bzów tureckich
Samotnym świeci oknem — nad nim nuci nów.
Łagodna kołysanka o świtach i zmierzchach
Po smyczku spływa czarnym.
Życie nie umiera.
Znowu wzleci muzyką nad milczącą przestrzeń,
Popłynie wiecznie młode, jak niebieska rzeka
Wyszeptana cierpieniem miłosnym Kreislera.

Tadeusz JANKOWSKI

ZAMEK KÓRNICKI

MIESZKAŃCY Kórnika protestują stanowczo, kiedy wiąże się nazwę ich miasta z terminem, określającym pomieszczenie dla kur. I mają rację: Kórnik nie przypomina kurnika, chociaż miasteczko to niewielkie, zaledwie trzytysięczne. Położony w stosunkowo niewielkiej odległości od Poznania (około 20 km), nad wielkim jeziorem, w otoczeniu lasu zachował Kórnik dziwny urok, tak charakterystyczny dla typowych w Wielkopolsce starych i pełnych pamiątek przeszłości miasteczek.

Po dziś dzień znajdują się tu dawne kamieniczki mieszczańskie, zachowane już tylko w nielicznych miastach województwa. Do minionej wojny istniała w Kórniku oryginalna bóżnica, wystawiona w XVIII wieku przez Szołdrską-Potulicką, ową legendarną Białą Damę z obrazu w zamku kórnickim. Bóżnica, zbudowana przeważnie z pni modrzewiowych na wzór dworków szlacheckich (z charakterystycznym gankiem), we wnętrzu tworzyła kwadrat nakryty kopułą. Zwiedzający mogli oglądać w niej wiele przedmiotów, które były nie tylko ciekawymi materiałami dla historii Żydów w Polsce, lecz również i pamiątkami narodowymi. Hitlerowcy zburzyli zabytkową bóżnicę, a drzewo zużyli do celów budowlanych.

W części południowej kórnickiego rynku, o bardzo wydłużonym kształcie i starannie utrzymanym skwerem, wznosi się ratusz z wieżą zegarową, a obok kościół parafialny. Przybytek Pański zbudowano w I-ej połowie XV wieku na polecenie biskupa poznańskiego Uriela Górki. Jego wygląd dzisiejszy, który od strony rynku, jest rezultatem przebudowy w stylu włoskiego gotyku, dokonanej w 1836 r. przez Tytusa Działyńskiego według projektu słynnego architekta Lanciego. W trzynawowym wnętrzu odnowionego kościoła, prócz tablic nagrobkowych Górków, nie wiele pozostało pamiątek z dawnych czasów.

W ODLEGŁOŚCI kilkuset metrów od rynku kórnickiego wznosi się zamek. Trakt, który przebiegał ongiś po zwodzonych mostach przez dziedziniec zamkowy, obecnie przeciska się szosą między zamkiem a brzegiem jeziora. W miejscu obronnym, bo na mokradłach — zbudowali w XV w. Łodziowie zamczysko, którego fundamenty oparty się na potężnych palach, wbitych w grząski grunt. Możny ród wspaniale wyposażył wnętrze swej siedziby; Łukasz Górka podejmował tutaj w 1574 r. Henryka Walezego, gdy niefortunny kandydat na króla polskiego jechał z Francji po koronę do Krakowa.

Budowniczym zamku w jego obecnej postaci był Tytus Działyński, który w pierwszej połowie ubiegłego stulecia dokonał przebudowy zamku wg wzoru angielskiego gotyku w połączeniu z motywami maurytańskimi. Owe połączenie gotyku z cechami orientalnymi uwidacznia się przede wszystkim w sali pierwszego piętra, obecnie zajętej na muzeum. Autorem tej koncepcji architektonicznej był sam Tytus Działyński, który równocześnie pragnął urzeczywistnić ją tylko rękoma polskich robotników i z polskich materiałów. Zamiar swój wykonał, gdyż zamek kórnicki to dzieło miejscowych rzemieślników. Z dumą stwierdzał Tytus Działyński, że filary, sklepienia, rzeźby i posadzki powstały z dębów, jesionów i buków z lasów kórnickich, a cegły pochodziły z okolicznych wytwórni. Każdy ze zwiedzających dzisiaj zamek kórnicki może powtórzyć za Tytusem Działyńskim, że „nie ma tu jednego gwoździa obcego, ani dotknięcia obcej ręki".

W rozpoczęte dzieło wkładał Działyński wiele pracy. Posiadając wielką wiedzę, a poza tym owładnięty manią bibliofilstwa, skupował wartościowe dzieła, całe księgozbiory i różne zabytki o wartości muzealnej. Następcy, przede wszystkim Jan Działyński, gen. Władysław Zamoyski i jego żona oraz ostatni dziedzic Kórnika, również Waldysław Zamoyberła króla Stanisława Leszczyńskiego, rzędu Michała Korybuta Wiśniowieckiego, pasów słuckich, znalezisk prehistorycznych itd. Trudno wymienić najważniejsze zabytki, jakie tu zebrano i przekazano całemu społeczeństwu po śmierci ostatnich właścicieli Kórnika, Władysława Zamoyskiego (+ 1924 r.) i jego siostry Marii (+ 1937 r.).

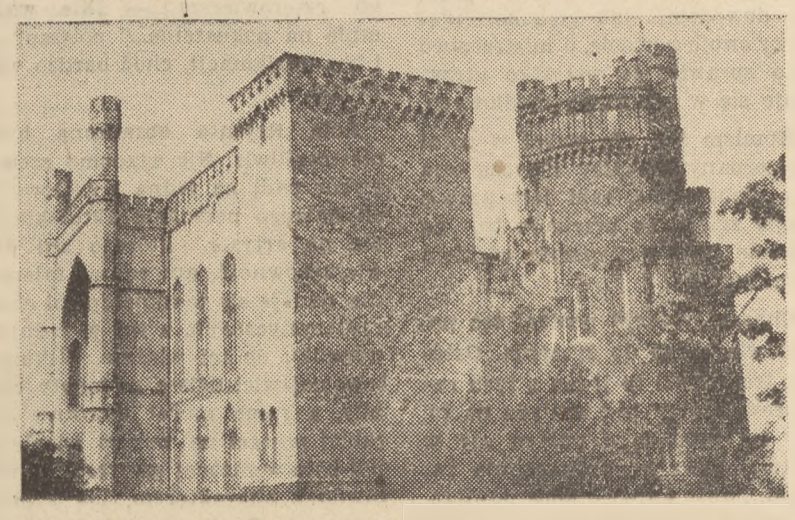

Zamek w Kórniku

fot. T. Jankowski

ski, kontynuowali dzieło Tytusa Działyńskiego. 1939 r. biblioteka kórnicka posiadała około 40 000 tomów dzieł drukowanych, a wśród nich 100 inkunabułów, t.j. druków z XV w., polonica z XVI w. w ilości 1799 egzempl. oraz 5 000 egzempl. druków z XVII w. Zgromadzono około 200 dyplomów na pergaminie oraz przeszło 2000 rękopisów od XI wieku począwszy. Wśród rękopisów znalazły się: Acta Tomiciana, Psałterz Puławski, Kazania Gnieźnieńskie, wczesna edycja Kroniki Kadłubka oraz własnoręczne pisma królów, protokóły procesów z Krzyżakami z własnoręczną notatką Jana Długosza, rękopis opisu kampanii 1792 r. oraz rysunek Tadeusza Kościuszki, rękopisy Napoleona I (wśród nich utwór literacki pisany na wyspie św. Heleny), autografy III części „Dziadów" i „Pani Twardowskiej" Adama Mickiewicza oraz „Hymnu o Zachodzie Słońca" Juliusza Słowackiego. Jeszcze dzisiaj podziwiać można księgę, przymocowaną do półki łańcuchem, zabytek jeszcze z Średniowiecza, gdy książka stanowiła pracę całego życia i kosztowała tak drogo, że trzeba było ją zabezpieczyć przed kradzieżą. Wśród druków oryginalny zabytek stanowiła księga ksylograficzna, t.zn. odbita z desek, w których pierwotnie wycinano cały tekst. Znalazły się tu również inne cenne zabytki, jak np. druk polski z 1475 r. (Jana Turrecrematy — komentarz do Psałterza), dzieła Reya, Kochanowskiego i wielu innych wybitnych przedstawicieli literatury polskiej, cenny zbiór wydań biblii i druków reformackich itd. Wiele dzieł zaopatrzono w dedykacje oraz exlibrisy i superexlibrisy.

Po przekazaniu zamku na własność państwa w dawnych komnatach mieszkalnych umieszczono zbiory muzealne. Pozostały tu nadal cenne meble, które zakupili właściciele zamku lub na ich polecenie wykonali mistrzowie kórniccy. Obrazy mistrzów holenderskich, włoskich i flamandzkich (oryginały Rubensa i Tycjana) lub płótna artystów polskich i przebywających w Polsce (Bacciarelli, Norblin) przyozdobiły ściany komnat zamkowych. Sale zapełniły się zbiorami dawnej broni i zbroi, pamiątkami w rodzaju krzyżyka Klaudyny Potockiej i klawikordu, na którym grywał Fryderyk Chopin, ołtarzyka polowego króla Jana Sobieskiego,

BEZCENNE skarby kultury narodowej znalazły się w bezpośrednim niebezpieczeństwie po agresji hitlerowskiej na Polskę we wrześniu 1939 r. Mobilizacja odwołała z Kórnika kilku pracowników z docentem dr. Podniakiem na czele. Obowiązek kierowania tą placówką w niezwykle trudnych warunkach wojennych spadł na barki kobiety, mgr Jasińskiej, która posterunku swego nie opuściła ani na chwilę. Obok niej stanął w obronie tej skarbnicy kultury narodowej dozorca Stanisław Małecki z synami Kazimierzem i Władysławem, Franciszka Konieczna oraz inni pracownicy Fundacji. Przez cały czas uczestniczyła w tej walce ś.p. Helena Olszewska, bibliotekarka, która właściwie z tego powodu straciła życie.

Zaczęło się od lakonicznej notatki oficerów hitlerowskich, którzy obok swych nazwisk w księdze zwiedzających wpisali uwagę: „Tag der Bufreiung" (dzień oswobodzenia). Było to dnia 10 września 1939 r. od tej chwili rozpoczęła się walka o zachowanie zamku przed kwaterami i przed rabunkiem. Dozorca StanisławMałecki, którego całe życie było i jest związane nierozerwalnie z tymi murami, nie zawahał się przeciwstawić oficerom niemieckim: Zamek nie może służyć jako miejsce zakwaterowania.

Hitlerowcy zajęli należącą do Fundacji Szkołę Gospodarczą i budynek biblioteczny nad jeziorem. Sam zamek został w dniu 2 września 1939 r. opieczętowany. Małeckiemu udało się jeszcze przenieść zbiory ulokowane w piwnicy do magazynu bibliotecznego. Podczas tej pracy włóczący się żołnierze niemieccy ukradli osobliwość muzeum: koncerz z XV w. z trzema szczerbami, ważący 8 kg. Od dnia 20 września 1939 r., w którym zwolniono z pracy mgr Jasińską i Helenę Olszewską, obie pracownice aż do końca okupacji nie miały dostępu do zbiorów; pozostawały jednak nadal w Kórniku. Mgr Jasińska wydawała polecenia pozostałym w zamku pracownikom, a szczególnie uzgadniała z przychodzącym do niej stale dozorcą Małeckim, co należy czynić, aby zachować zbiory przed zniszczeniem i grabieżą. Małecki z synami i Konieczną próbowali potajemnie wykonać polecenia, albo wyjednać zgodę Niemców na planowaną przez nich pracę. I tak Kazimierz Małecki wchodząc pod różnymi pozorami do zamku, opieczętował ukradkiem kilkanaście tysięcy książek stemplem Biblioteki, aby uchronić je od zaginięcia na wypadek zabrania zbiorów z zamku. Stanisław Małecki z drugim synem, Władysławem, potajemnie fotografowali zbiory kórnickie, co miało i ma olbrzymie znaczenie dla rewindykacji wywiezionych książek i eksponatów. Dzięki pozostałym w zamku pracownikom można było dokonać kontroli stanu zbiorów. Zadania tego dokonała mgr Jasińska oraz przybyła specjalnie z Warszawy dr Józef Orańska. Obie pracowniczki Fundacji weszły do zamku wprowadzone skrycie przez Stanisława Małeckiego.

Nie trzeba tu wyjaśniać, jak tego rodzaju prace były niebezpieczne i czym groziło ich zdekonspirowanie. Tym bardziej są one godne podkreślenia, że hitlerowcy w dniu 20 października 1939 r. rozstrzelali publicznie naczelnego zarządcę majątku Fundacji Antoniego Pacyńskiego oraz Jana Gmytrasiewicza i Hipolita Ellmana. Fundacja „Zakłady Kórnickie" stała się „Reichsstifftung für Ostforschung" i podlegała niemieckiemu uniwersytetowi w Poznaniu, z ramienia którego rządził „kurator" Streit. W niebezpiecznych warunkach ratowali pracownicy Kórnika skarby kultury polskiej, a dozorca Małecki nie uląkł się nawet Greisera, oświadczając mu, że zabieranie przez „wielkorządcę" t.zw. Warthelandu mebli zabytkowych jest sprzeczne z postanowieniami aktu fundacyjnego. Również dzięki odwadze pracowników, a szczególnie wymienionego już kilkakrotnie Maleckiego, zachował się oryginalny obraz Tycjana, zabytkowa porcelana zamkowa i wiele innych zbiorów.

Lecz i Stanisław Małecki musiał odejść z zamku. Aresztowano go wraz z synami Władysławem i Kazimierzem w dniu 26 września 1942 r., pod zarzutem działalności konspiracyjnej. Wkrótce potem przybyło do zamku gestapo z żoną Stanisława Małeckiego, żądając od niej wskazania szafy ściennej. Małecka, mimo brutalnej presji, skrytki nie wskazała. Po pewnym czasie pozwolono wrócić do pracy, oddalonej okresowo z zamku po aresztowaniu Małeckich, Franciszce Koniecznej. Ona odtąd przejęła trudny obowiązek czuwania nad całością zbiorów i śledzenia, dokąd je Niemcy wywożą. Rabunek zabytków muzealnych potęgował się w miarę zbliżania się frontu.

W WOLNEJ POLSCE

W DNIU 25 stycznia 1945 r. wrócił pieszo z więzienia w Rawiczu cudownie niemal ocalony Stanisław Małecki. Mimo choroby niezwłocznie przystąpił do pracy. Pomógł mu wkrótce syn Kazimierz, również skazany na więzienie przez hitlerowców. Trzeci syn nie wrócił, gdyż został ścięty za redagowanie i wydawanie tajnego biuletynu. W dniu 4 lutego 1945 r. zmarła zasłużona bibliotekarka, absolwentka Sorbony, Helena Olszewska.

Niebawem wrócili i inni pracownicy Fundacji z dr. Bodniakiem na czele. Zaczęła się trudna praca nad przywracaniem ładu w zbiorach oraz nad ich rewindykacją. Zdołano odzyskać, dzięki pomocy Związku Radzieckiego zbiory, które Niemcy wywieźli do Drezna. Normalnej pracy Biblioteki kórnickiej, która stała się po wojnie jednym z najważniejszych warsztatów pracy uczonych polskich, zagroziło inne niebezpieczeństwo. Oto zaczęły pękać mury zamku kórnickiego.

Jak wspomniano już na wstępie tego artykułu, zamek kórnicki zbudowano na mokradłach, w które wbito olbrzymie pale drewniane. Woda doskonale konserwowała owe pale przez długie wieki. Sytuacja zmieniła się jednak, kiedy w pobliskim jeziorze opadł poziom wody. Wtedy to szczyty pali, na których opierała się budowla, poczęły gnić. Spowodowało to opadanie całej budowli oraz zarysowanie się murów i sklepień zamku.

Do wzmocnienia fundamentów zamierzano przystąpić już przed wojną, lecz nie dało się tego zrealizować, a wybuch wojny całą sprawę poważnie opóźnił. Hitlerowcy — mimo zwracania im uwagi na coraz szybciej posuwający się proces niszczenia zabytkowego zamku — nie wykazali nawet najmniejszego zainteresowania tą sprawą, co więcej — nie zarządzili naprawy dachów, a nawet zaszkodzili budynkowi, nadmiernie obciążając go w ostatnim roku okupacji kilkudziesięcioma ciężkimi skrzyniami książek z Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu. Do pogorszenia się sytuacji zamku przyczyniły się również wstrząsy, jakim ulegał zamek w czasie działań wojennych, gdy pobliską szosą przejeżdżały liczne kolumny samochodowe.

Zabiegi o fundusze dla przeprowadzenia koniecznych prac przy fundamentach zamku, były w pierwszym okresie po wojnie tylko w części skuteczne w związku z trudną sytuacją kraju po latach okupacji. Dopiero wizyta Prezydenta Rzeczypospolitej Bolesława Bieruta w Kórniku w dniu 13 października 1947 r. wywołała kompletną zmianę sytuacji. Już w dniu 24 października 1947 r. rozpoczęto pracę nad wzmocnieniem fundamentu zamku. W tym celu dokonywano wierceń otworów głębokości osiem i więcej metrów, aż do natrafienia na warstwę nośnego iłu. W otwór umieszczano pal z takim wyliczeniem, aby jeden z pary pali przydał na zewnątrz muru, drugi zaś po stronie wewnętrznej. Z kolei łączono ową parę pali stalowymi dźwigarami. Na nich wsparł się mur. Tak to olbrzymim wysiłkiem zdołano uratować gmach przed zagładą.

Dzisiaj po przeminięciu nawały hitlerowskiej, po zwalczeniu nieprzyjaznych sił przyrody, zamek w otoczeniu potężnego parku o 5000 gatunków drzew i krzewów wita stale nowych gości mimo dość znacznego oddalenia od stacji kolejowej. Spieszą do niego liczne wycieczki zza granicy i z różnych stron kraju, zajeżdżają auta z pracownikami fabryk i z uczniami szkolnymi. Zamek kórnicki nie jest bowiem tylko warsztatem naukowym, jest również skarbnicą kultury narodowej i pamiątką dawnej przeszłości.

Tadeusz Jankowski

CZYTAJCIE
„SŁOWO POWSZECHNE"
PISMO CODZIENNE

Alina ŚWIDERSKA

Z TEATRÓW KRAKOWSKICH

PIERWSZĄ w serii bieżącego repertuaru była w Małej sali Starego Teatru „MIRANDOLINA" Goldoniego, która obecnie osiągnęła już setne przedstawienie. Krytyka obeszła się z nią dość surowo. Zarzucano brak stylu, a raczej jakąś „mieszaninę stylową", przejaskrawienie niektórych efektów, niedociągnięcie innych itd. itp. — ostatecznie jednak publiczność bawiła się doskonale, aktorzy „wyżywali się" na scenie szczerze i z humorem, tytułowa bohaterka ładnie wyglądała i grała doskonale, czegóż więcej potrzeba? Spędzić wieczór beztrosko i śmiać się tak naiwnie jak przed dwustu laty śmieli się widzowie premiery Goldoniego — to już bardzo wiele. A że tam nie wszystko szło z takim smakiem wytwornym, na jaki zasługuje ta bądź co bądź komedia, a nie farsa, że tu i ówdzie zatrącało rubasznością, to nie zapominajmy, że ten utwór tkwi jeszcze na poły w **commedia dell'arte**. Przekład doskonały, cała scenografia, dekoracje, kostiumy, rekwizyty teatralne, wszystko obmyślone ze świeżą i żywą pomysłowością, obsada na ogół trafna, tempo gry wyborne, słowem — cokolwiek mógłby kto zarzucić, przedstawienie udane.

NA „ZEMSTĘ" Fredry w nowym ujęciu, odmiennym od wszystkich dotychczasowych czekaliśmy już od dawna. Dyrekcja teatru Słowackiego przystępowała do tego z wielkim przejęciem i z wielkim staraniem. Czy eksperyment się udał? Pod tym względem mogą być różne zdania.

Zaznaczanie ruiny i nędzy wyglądającej na każdym kroku spod pozorów „wielkopaństwa" wydaje mi się rzeczą chybioną i niezgodną z zamiarami autora. Nie zdaje mi się też słuszne twierdzenie kogoś z krytyków, że to dla stłumienia w sobie poważniejszych trosk i bólów obaj sąsiedzi czepiają się błahostki jaką jest sprawa o mur graniczny. Przeciwnie, sądzę, że to właśnie w spokojnym dostatku, mając dość wolnego czasu, wadzą się o ten drobiazg będący dla nich pretekstem do wyładowania wzajemnej niechęci. Zamożność ta jest zaznaczana na każdym kroku. („Abym milczał, dał to złoto", „Spraw się ładnie a w kieszonkę grubo wpadnie"). Sądzę też, że Fredro chcąc stworzyć komedię, umyślnie wybrał taki właśnie temat, który mu dawał sposobność do pochwycenia i utrwalenia jak największej ilości rysów komicznych i wynikających stąd komicznych sytuacji. (Coś podobnego zrobił Rostand w swoich „Romanesques"). To zaś, że komedia raz po raz zahacza o dramat, jest tylko dowodem, jak głęboko ujął autor swoje postacie, a mistrzostwo jego sprawia, że wszystko utrzymuje się w ramach komediowych.

Komizm ten nie został w pełni wyczerpany. Wszyscy krzyczą tam tak nieustannie, taki jest prawie ciągle zgiełk, że przepada to, co właśnie było najlepszym efektem komicznym.

Charakteryzacja postaci też pozostawia nieco do życzenia. Cześnik fredrowski to jeden z tych raptusów, którzy bez względu na to, czy się urodzili w pałacu czy w chacie, bywają powszechnie lubiani, powinien więc mieć powierzchowność sympatyczną, podczas gdy fizjonomia jaką widzieliśmy na scenie była niemiła i co gorzej, głupia, a Cześnik choć nie luminarz, ale głupi nie jest. Przytem ma to być postać zewnętrznie dostojna i właśnie przy tej mimowolnej dostojności wybuchy pasji nabierają należytego charakteru. Tymczasem Cześnik rzucał się i wrzeszczał bez przestanku, co zamiast bawić nużyło. Szczęśliwą innowacją był tylko jeden moment, a mianowicie wygłoszenie słynnego czterowiersza: — „Nie wódź mnie na pokuszenie..." półszeptem i bez deklamacji, choć bardzo wyraźnie.

Rola Rejenta obsadzona była nieszczęśliwie. Nie wiadomo czemu wybór padł na jedną z czołowych sił naszego personelu aktorskiego, ale na artystę, którego ani powierzchowność, ani rodzaj talentu nie nadaje się w ogóle do ról charakterystycznych, a już w żadnym wypadku do tej właśnie. Wskutek tego najświetniejsze momenty chybiły, a samo nawet ukazanie się takiej postaci na wskróś szlachetnej było w rażącej sprzeczności zarówno z charakterem, jak z tekstem roli. Raziło to zaś tym bardziej, że mamy jeszcze w pamięci wybornie odtworzoną postać Milczka przed paru laty już po wojnie.

Papkin miał bardzo dobre warunki zewnętrzne, ale ich w pełni nie wyzyskał. Najlepiej wypadła piosenka o kocie. Poza tym jednak zanadto miotał się i krzyczał, zbyt gwałtowne były — w czasie wizyty u rejenta — przeskoki od wrzasku do szeptu, za małe w ogóle wycieniowanie roli, a jedzenie przy stole zupy wprost z wazy, choć z wielkim smakiem, czyniło wrażenie wielce niesmaczne. Przy tym nasuwało się znowu porównanie z Jerzym Leszczyńskim w tej roli parę lat temu.

Najlepszy zresztą Papkin jakiego widziałam w życiu, to był — jeszcze w XIX wieku — Siemaszko. Dotąd mam go przed oczami w niezrównanej scenie pisania testamentu, kiedy rzewnie płacząc szedł raz po raz maczać pióro w kałamarzu obchodząc za każdym razem ostrożnie i z daleka rozwścieczonego Cześnika i wystraszonego Dyndalskiego. Dotąd pamiętam jak u Rejenta chcąc parę słów zamienić na stronie z Podstoliną, ujął ją za rękę i lekkim krokiem szedł z nią razem na przód sceny w rytm wygłaszanego jednocześnie wiersza: — „Ach, co czynisz, podstolino! Z twej przyczyny wszyscy giną".

W ogóle z wierszem fredrowskim było tym razem nie najlepiej. Dykcja wprawdzie była czysta (tylko jedna Klara szwankowała nieco pod tym względem), ale nie dosyć uwydatniano zarówno treść jak i muzykę wiersza. Przecież tam „co słowo, to klejnot" —jak powiedział niegdyś Wagner o „Fauście" Goethe'go — a najsłynniejsze strofy fredrowskie wszyscy mniej więcej znają na pamięć tak, iż interpretacja ich powinna równać się wykonaniu znanych również powszechnie fraz muzycznych na przykład w koncertach fortepianowych Chopina. Takie są przede wszystkim owe dwa, stanowiące umyślną antytezę powiedzenia: „O, płci piękna, luba, droga..." i: „O, płci biedna, czci nie warta...". Pierwsze wypadło bez zarzutu, natomiast drugie, z powodów wymienionych, nie miało należytej ekspresji.

Korzystną zmianą było zerwanie z konwencjonalnym traktowaniem pary kochanków, z którymi dotychczas zawsze jakoś obchodzono się po macoszemu. Nareszcie raz w postaci Klary zobaczyliśmy po prostu świeżą, młodą dziewczynę, która naprawdę żyje na scenie. Tylko, że... brakło jej stylu. Wskutek tego słowa Wacława: „Przed godziną z twegi mdleje, za godzinę wzorem męstwa", nie miały należytego uzasadnienia, a jej okrzyk desperacki, gdy go zobaczyła w jaskini lwa: „Jeszcze mi się w oczy śmieje!", również nie tłumaczył się dostatecznie. Pominęła też bodajże najpiękniejszy moment swej roli, bo słowa: „Wszędzie twoja, prócz w niesławie", przeszły zupełnie bez wrażenia. (Notabene Wacław nie powinien jej gładzić po twarzy, a zamiast ciągłej rozmowy **bec-à-bec**, lepszy byłby pewien dystans przerwany na końcu jednym, ale długim i mocnym pocałunkiem).

Podstolina była dobra, tylko ubrana tak, że zatrącało to o karykaturę. Przypominała wyglądem chcące udawać wielkie panie, prowincjonalne aktorki z „MIRANDOLINY".

Niepotrzebnie też dwaj murarze — do których zgoła nie pasowały słowa Rejenta: „Tacy młodzi!" — byli ledwo że odziani jak jacyś żebracy, nędzarze. Przecież to są robotnicy i to nawet jako tako wynagradzani, skoro nie przypuszczają możliwości, żeby mieli zostać bez chleba. Wystarczyłoby tu ubranie wytarte i powalane wapnem, ale przyzwoite.

Jedyny, który pozostał przy dawnej tradycji, to poczciwy Dyndalski. Tego staruszka nie zdoła naruszyć żadne nowatorstwo. Był, jest i będzie zawsze ten sam.

Wreszcie na końcu mała uwaga. Przecież „ksiądz pleban" nie może być zakonnikiem w habicie!

Przypomina mi się w tej chwili, że kiedyś, nie wiem już w którym z teatrów europejskich, spróbowano zmodernizować Hamleta każąc mu występować we fraku. I podobno wypadło to nie najgorzej. Nie twierdzę wprawdzie, że bohaterów „ZEMSTY" wartoby również poprzebierać w garnitury frakowe lub w shorty, ale to fakt, że cały ten aparat staropolski, wiązanie pasa słuckiego na scenie itd. itp. wytwarzał pewną połowiczność nastroju niezgodnego z tym „nowym spojrzeniem", o które szło reżyserii.

Nie w tych szczegółach zewnętrznych, ale w czym innym leży styl Fredry i do tych rdzennych jego wartości zbliżył się najbardziej — jak to już było zaznaczone w uprzednim sprawozdaniu — skromny i stojący na uboczu Teatr Kolejarza.

Ten teatr obecnie wystąpił z kolei z „FIRCYKIEM W ZALOTACH" Zabłockiego. Przedstawienie nie osiągnęło wprawdzie tym razem takiej perfekcji jak „OSTATNIA WOLA", ale nie podlega żadnym zarzutom. Wystawa była stara (ładnie pomyślany menuet w balecie), gra bardzo dobra mimo nieco słabszej obsady, wszystkie efekty uwydatnione należycie, słowem cała rzecz utrzymana na właściwym poziomie. Dobrym pomysłem było wprawdzie wprowadzenie przed każdym aktem intermediów, w których ucharakteryzowani odpowiednio szlachta i mieszczanie wypowiadają teksty autentyczne zaczerpnięte z pisarzy polskiego Oświecenia i stanowiące niejako komentarz i pogłębienie satyry odgrywanej na scenie. Inscenizator ustrzegł się szczęśliwie zbyt rażącej karykatury w postaciach szlachty.

Brak mi już miejsca na wspomnienie o teatrze lalek, „Grotesk" który zasługuje na osobną ocenę.

Alina Świderska

Fenomenalny improwizator z XVI wieku

JĘZYK łaciński rozpowszechnił się w Polsce z końcem XV i w wieku XVI, równocześnie z przenikaniem humanizmu. Używano przed tym łaciny średniowiecza, miała ona jednak charakter raczej kościelny, wzorowała się też przeważnie na liturgicznym języku kościoła. Dopiero wzrastająca zamożność kraju za czasów Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, oraz liczne, stałe stosunki z Włochami, uprawiane przez królową Bonę, dwór jej i odwiedzających go Włochów, sprawiły, że młodzież zaczęła garnąć się do wiedzy i jej nowych, a tak ponętnych źródeł, jakie biły na wszechnicach włoskich w Padwie, Bolonii i Florencji.

Ten rozpęd był tak silny, a postęp humanizmu i łaciny w Polsce tak szybkie, że już w 1521 pisał Decjusz w dziele swym **De Sigismundi Regis Temporibus**: „Rzadko się trafia u Polaków szlachetnie urodzony, któryby nie znał języka czterech lub trzech narodów, po łacinie zaś wszyscy umieją".

Gdy w 1573 przybyło do Paryża do Henryka Walezego poselstwo polskie i zjawiło się na wspaniałym dworze w Louvrze, historyk de Thou pisał: Płonęli od wstydu dworzanie i szlachta, gdy na wyborne mowy Polaków, na rozliczne ich zapytania, nieświadomi tej mowy odmrukiwać tylko musieli".

Znajomość języka łacińskiego powoliła młodzieży wyjeżdżać na studia zagranicę, bo w tym języku wykładno większość przedmiotów. Blask i rozgłos Włoch, kolebki Odrodzenia, najsilniej Polaków przyciągały. Dawniej jeździli tam niemal wyłącznie duchowni, od końca XV wieku szukał zaś w Italii uzupełnienia wykształcenia każdy, komu środki finansowe na to pozwalały. Uczył się poznawać piękno sztuki, racjonalnego myślenia, uczył się z książek, z teatru, z publicznych dysput i wykładów.

Wybitni profesorowie włoscy otaczali się chętnie zdolną i pojętną młodzieżą polską, która wracała do ojczyzny, stając się przykładem dla innych i wzorem nowego życia. Wychowankowie uczelni włoskich zajmowali później w Polsce wybitne stanowiska, czy to w nauce, jak Kopernik, czy w życiu publicznym lub kościelnym, jak Ciołek, Tomicki, Dantyszek, Samuel Maciejowski, Szydłowiecki, Jan Zamoyski i in.

Tak zwane Nacje Polskie, tj. spisy polskich uczniów w Padwie i Bolonii, liczyły w pewnych latach więcej słuchaczy jak Wszechnica Krakowska. Scholarze ci szerzyli zamiłowanie do piękna, do poezji i klasycznej mowy Cicerona, która stała się w Polsce językiem kaznodziejów, dziejopisów, uczonych i poetów. Utwory ich rozchodziły się po świecie. Czytywano je w Niemczech, we Francji, w Holandii i Austrii... Chwalono je też powszechnie bo zdaniem uczonych badaczy ówczesnych „wykazywały zupełne opanowanie formy i techniki poetów rzymskich". Kochanowski wznosił się w swych horacjańskich odach (**Liricorum Libellus** — r. 1580) na wyżyny wykwintnej poezji, a znakomitym poeta łacińskim, Szymonowiczem, zachwycano się w całej niemal Europie.

Nic więc dziwnego, że młody nieznany scholarz Stanisław Niegoszewski (1555 — 1599) przywiózł do Padwy dokładną znajomość łaciny; przywiózł również łatwość improwizowania w tym języku wierszy, przemówień, panegiryków. Zwrócił na siebie od razu uwagę zarówno profesorów jak i uczniów. Był zapalonym lingwistą i jego zdolności opanowywania obcego języka zdumiewały wszystkich. Poezje jego pisane lub improwizowane miały zawsze doskonałą formę, opartą na najlepszych wzorach łaciny klasycznej, o treści często wesołej lub z lekka złośliwej.

Na ławie szkolnej zaprzyjaźnił się z Janem Zamoyskim, późniejszym kanclerzem, jednym z największych mężów stanu dawnej Polski, oraz z Aldo Manuzio, który podobnie, jak Niegoszewski studiował filologię. Przyjaźń z owym młodym Włochem była tak żywa, a podziw dla talentów Niegoszewskiego tak wielki, że Manuzio zaprosił go do domu rodzicielskiego w Wenecji. Była to patrycjuszowska siedziba słynnego drukarza Pawła Manuzia, który wprowadził swego polskiego gościa na dwór doży weneckiego Paskwala Cicogna i tu popisywał się on owym niezwykłym talentem improwizatorskim. Zadziwiał nie tylko kunsztem poetyckim, fenomenalną pamięcią, ale i wszechstronnością wykształcenia, pozwalając mu odpowiedzieć od razu wierszem na każde zadane mu pytanie... Modne się stały w Wenecji wieczory improwizatorskie Niegoszewskiego, na których zebrani słuchali z podziwem improwizacji w kilku językach z dziedziny teologii, polityki, filozofii, astronomii itd. Zaproszenia na owe wieczory drukowane nader ozdobne przez Manuzia w jego drukarni, nosiły napis: „Zaprasza się na popis improwizatora polskiego Stanisława Niegoszewskiego, który gotów jest odpowiedzieć od razu wierszem w kilku językach na każdy zadany mu temat" A tymi językami były: łacina, włoski, hiszpański, arabski, hebrajski i polski. Zainteresował się też osobą naszego rodaka papież Sykstus V i ozdobił go najwyższą odznaką poety, wawrzynem rzymskim, doża wenecki wpisał go do złotej księgi patrycjatu, on zaś wydał w tym czasie utwór, który wsławił go w całej niemal Europie. Odwdzięczając się swojemu możnemu protektorowi Janowi Zamoyskiemu, napisał bohaterski poemat pt.: Ad Ill. Princ. Joannem Zamoscium Epikimion". Poemat ów obejmował również sześć dytyrambów w sześciu językach. Pierwszy „Gedeon" po hebrajsku, drugi „Epaminondas" po grecku, trzeci „Fabius Maximus" po łacinie, czwarty „Wielki wódz Gonsalvo Hernandez z Kordoby", po hiszpańsku ostatni „Jan Grabia z Tarnowa", po polsku. Oryginalne to dzieło drukował bogato i bardzo ozdobnie Manuzio z podobizną autora, trzymającego książkę w ręku z napisem: **Non est mortale quod opto"**.

Wzywany przez Zamoyskiego do powrotu, nęcony obietnicą stanowiska sekretarza w kancelarii królewskiej Zygmunta III, Niegoszewski opuścił tak gościnną dla niego Wenecję i udał się do Polski.

Król zajęty odbudową zniszczonego pożarem Wawelu, interesował się osobiście więcej malarstwem — bo sam też nieco malował — i architekturą, aniżeli poezją i improwizatorstwem. W porównaniu z dworami: papieskim, dożów Wenecji i Genui, książąt Urbino i Ferrary, gdzie tak hojnie popierano literaturę i sztukę, w Polsce nie wielu trafiało się mecenasów. Wszakże poeta Jan Kochanowski, znakomity myśliciel Frycz Modrzewski, mimo, że byli dworzanami królewskimi, musieli w końcu zagrzebać się na wsi, bez biblioteki, odpowiedniego środowiska i pomocy i tam w najgorszych dla siebie warunkach pracowali.

Niegoszewski wydał w Krakowie po łacinie kilka rozpraw krytycznych i polemicznych, wszakże błyskotliwa jego sława tak olśniewająca w Italii zgasła w Polsce dość rychło. Umarł w młodym wieku niemal zapomniany. Pochowany został w Zamościu, gdzie pamięć jego uczcił pięknym nagrobkiem wierny mu do końca towarzysz z uczelni padewskiej, Jan Zamoyski.

Alfred Jeż

DO P.T. CZYTELNIKÓW

Od dnia 16 maja 1952 r. zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat na prenumeratę do P.P.K. „Ruch" kierować nie należy.

Zbyszko BEDNORZ

KORESPONDENCJA Z KATOWIC

INICJATYWY I ZADANIA

OSTATNIO między Katowicami a Poznaniem wieją dobre i zdrowe wiatry. Notujemy pewne ożywienie; dyskusyjne na razie, ale może nuda, jaka zaległa tory kontaktów kulturalnych dwu tych ośrodków zachodnio-polskich nareszcie ustąpi miejsca **twórczemu** zainteresowaniu, **serdeczniejszemu** zainteresowaniu, zainteresowaniu wreszcie **bezpośredniemu.** Nie ulega bowiem wątpliwości, że od pewnego czasu ani stosunki artystyczno-literackie, ani naukowe, cech tych nie posiadają.

Instytut Zachodni w Poznaniu przejąwszy w roku 1948 agendy Instytutu Śląskiego, wziął na swe barki pewną odpowiedzialność jeśli idzie o podtrzymywanie tych stosunków szczególnie w dziedzinie nauk humanistycznych. Tak się złożyło, że wkrótce potem Poznań i Katowice zaczęły z sobą rozmawiać drogą przez Wrocław, ponieważ tam ulokował się śląski oddział Instytutu Zachodniego. Z powodu takiej okrężnej i długiej drogi wiele powstało zaniedbań i zahamowań, ze szkodą dla ośrodka górnośląskiego i, tuszę, dla ośrodka poznańskiego. Nie chodzi jednak o samą tylko naukę ale także o sztukę. Tu już zupełnie nie ma wzajemnego nasycania się, oddziaływania, wspólnego przeżywania, wymiany. W tej dziedzinie jest tak od dawna. Już kiedyś, gdy jeszcze wychodziła „Odra" irytowało się tym stanem rzeczy wielu ludzi dobrej woli, a niżej podpisany pisał wówczas, pytając geografów i socjologów „gdzie leży Poznań?"

Obecnie dyskusyjne ożywienie zrodziło się, że tak się wyrażę, z ofensywy kulturalnej dzienników katowickich. „Dziennik Zachodni" dwukrotnie „najechał" poznańskich uczonych, zgrupowanych wokół Instytutu Zachodniego, pomawiając ich o niedość poważne zajmowanie się zamówieniami społecznymi z dziedziny nauk historycznych, socjologii, historii literatury itp., zaś „Trybuna Robotnicza" po prostu nie bawiąc się w słowa, dokonała czynu: utworzyła przy swej redakcji szerokie kolegium miejscowych uczonych, reprezentujących różne dyscypliny humanistyczne i powierzając temu kolegium prace leżące odłogiem, a pilne i żywo związane z najistotniejszymi potrzebami terenu. O tym ostatnim fakcie już pisałem (por. moją ostatnią korespondencję z Katowic zatyt. „4:0 dla Bielska"). Otóż kiedy się to działo wychodził w Poznańskiej Drukarni Naukowej na boży świat gruby tom „Przeglądu Zachodniego", poświęcony właśnie Śląskowi, oraz zawierający artykuł prof. Zygmunta Wojciechowskiego, wyjaśniający problem stosunków naukowych Instytutu Zachodniego z Śląskiem i omawiający sprawę zobowiązań Instytutu wobec potrzeb terenu śląskiego.

Dyrektor Instytutu wykazuje, posługując się tytułami prac wydrukowanych i przygotowanych do druku, że ośrodek poznański nie ma zamiaru połykać gorzkiej pigułki, spreparowanej w Katowicach na chorobę, która wcale mu nie dolega. Za brak lokalnego ośrodka badań humanistycznych na Śląsku nie może odpowiadać, pisze prof. Wojciechowski, Instytut. Na to „Dziennik Zachodni" piórem Szewczyka podjął polemikę ze znakomitym uczonym poznańskim mimo wszystko obciążając placówkę przezeń prowadzoną pewnymi winami.

OTÓŻ poruszenie. Ale czy o samo poruszenie tylko chodzi?

Rzecz jest poważna. Nie jest w tej chwili istotne kto zawinił, że wiele zagadnień historycznych, socjalnych, historyczno - literackich daremnie czeka na opracowania, na przemyślenie od nowa, na odkrycie, ale istotne wydaje się kiedy i przez niego zostaną podjęte owe studia, tak niezmiernie doniośle, gdy idzie o zrozumienie współczesności i o oparcie wszelkich dzisiejszych dążeń i zamierzeń kulturalnych na dokładnej znajomości specyficznej problematyki tej ziemi.

A trzeba powiedzieć, że złożoność tej problematyki i potrzeby nie maleją ale wzrastają. Wyliczone w grubym tomisku, wydanym przed wojną przez Instytut Śląski, zadania nauki polskiej na odcinku śląskim, oraz zadania wytypowane w podobnej książce wydanej po wojnie (por. „Stan i potrzeby nauki polskiej na Śląsku", Katowice 1936 oraz dzieło pod zbliżonym tyt. wydane w r. 1947, Katowice—Wrocław), stanowią zaledwie fragment tego, na co czeka społeczeństwo. Dokonują się wielkie rzeczy wokół nas, pragniemy wiedzy o współczesności przez wiedzę o przeszłości. Ale dlatego, że potrzeb jest mnóstwo, **winniśmy postulować hierarchię badań i studiów.** Badacze i uczeni, wytrawni profesorowie i młodzi adepci naukowi, zaprawdę nie próżnują. W ośrodkach uniwersyteckich, szczególnie w poznańskim, krakowskim i wrocławskim coraz więcej rozpraw magisterskich i doktorskich jest związanych z naszymi ziemiami zwycięstwa. Niestety nie wiemy, czy i w jakim stopniu działa w podejmowaniu interesującej nas tu tematyki **jakaś przemyślana, rozsądna planowość.** Czy inicjuje ktoś, czy koordynuje ktoś, jakaś instytucja owe badania i studia? Wydaje się nam, że nie. Niedawno miałem możność przekonać się, że pewien młody człowiek trudzi się nad pracą magisterską z dziedziny już dokładnie opracowanej dwa lata temu przez innego młodego uczonego. Może tedy celowo było by uzgadniać wysiłki naukowe związane nie tylko zresztą ze Śląskiem. Było by to z pożytkiem dla spraw jak się wyżej rzekło, leżących odłogiem.

W DYSKUSJI, o której wspomniano na wstępie, padł między innymi zarzut pod adresem historyków, że nie dokonują rewizji zagadnień opracowanych źle i fałszywie przez starą naukę. Konkretnie chodziło o nowe spojrzenie na dzieje powstań śląskich. Inicjatywę w tym kierunku daje Jerzy Lutowski w swym dziele dramatycznym, które obecnie oglądamy na dużej scenie Państwowego Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Spojrzenie Lutowskiego jest spojrzeniem literackim, niemniej pisarz starał się swój utwór udokumentować historycznie.

Nowatorstwo sztuki, która obiegła już Warszawę i znana jest na Śląsku, polega na potraktowaniu walki o wyzwolenie Śląska jako walki świata robotniczego z kapitalizmem. Lutowski pokazuje jak to nie wszyscy powstańcy uświadamiali sobie z razu z kim i o co się biją, ale wypadki natury polityczno-gospodarczej, które towarzyszyły trzeciemu powstaniu, otwarły oczy zawiedzionemu ludowi. Lutowski w mocnych, z punktu widzenia dramatycznego, scenach wprowadza do akcji obok prostych robotników polskich i niemieckich, także uświadomionych aktywistów, jak Józefa Wieczorka i Karlika. Ukazuje również konszachty polityków i właścicieli kopalń. O talencie dramatycznym Lutowskiego najwyraźniej świadczy świetne wiązanie wątków, umiejętność stopniowego zagęszczania problematyki społeczno-politycznej i łączenia jej z najbardziej osobistymi przeżyciami i sprawami wprowadzonych postaci.

Reżyseria Romana Zawistowskiego i gra artystów wydobyła z dzieła chyba najistotniejsze elementy. Walka zarówno fizyczna jak i prowadzona w płaszczyźnie ideowej i polityczno-narodowościowej jest przedstawiona z umiarem, tym więcej więc posiada sugestywności oddziaływania. Na dobry poziom przedstawienia składa się zawsze wiele czynników, lecz najważniejszym jest artysta. Katowice dysponują siłami raczej średnimi, przeważnie młodymi i miło jest stwierdzić, że aktorzy śląscy poprzez własną pracę i studia, swoje wysiłki odtwórcze wieńczą coraz lepszymi wynikami. Na uwagę zasługuje Celina Kubicówna, której dyrekcja artystyczna powierza coraz poważniejsze role. We „Wzgórzu 35" Kubicówna w roli tragicznej Barbary umie zupełnie nieefektownymi środkami aktorskimi wydobyć głęboki i szczery wyraz artystyczny. Sugestywne postacie stworzyli: Roman Zawistowski jako adwokat Wolny, Józef Para jako Józef Wieczorek, Ryszard Radwan (Kurt), Bolesław Smela (Karol), Zygmunt Rzuchowski (Franek), Ryszard Wasilewski (Percival), Józef Pelszyk (kan. Nieborowski), Władysław Kozłowski (ks. Robota).

Wypada wyrazić uznanie Wiesławowi Langemu za dekoracje; szczególnie udane było wnętrze kopalni.

DO I-SZEJ KOMUNII ŚW.

obrazki, medaliki, książki, świece, łańcuszki, rygrafy

FIGURY GIPSOWE—SPRZĘT KOŚCIELNY—WINO MSZALNE

WYDAWNICTWA „PAX"

poleca

»V E R I T A S«

Warszawa, Widok 5
Łódź, Piotrkowska 88
Białystok, Dąbrowskiego 1
Siedlce, Gen. Dąbrowskiego 20
Tarnów, Krakowska 39
Nowy Sącz, św. Ducha 3
Częstochowa 7 Kamienic 27
Wrocław, Katedralna 6
Poznań, Kantaka 10
Toruń, Rynek Staromiejski 17
Bydgoszcz, 1 Maja 54
Sopot, Prezydenta Bieruta 7

Zarząd i hurtownia — W-wa, ul. Mokotowska 43

Zamówienia wykonujemy za zaliczeniem

PAMIĘTNIK EKSCELENCJI

KRÓLESTWO Galicji i Lodomerii, Wielkie Księstwo Krakowskie, Księstwo Zatorskie i Oświęcimskie — tak z woli urzędników jego cesarsko-królewsko-apostolskiej mości zwała się oficjalnie Małopolska, od czasów gdy wykrajana została przez Austrię z ziem Rzeczpospolitej.

Początek rządów austriackich nad krajem cechowały dwa odgórne procesy. Pierwszym było przeprowadzenie przez zaborcę rozwarstwienia stanowego wśród szlachty polskiej, sztuczne wyodrębnienie „rodowej" arystokracji, dokonane na wyraźnej zasadzie klasowej.

Drugim procesem było zaprowadzenie silnych i nowoczesnych rządów biurokratycznych. Pod tym względem rozwój Austrii nastąpił w tym samym mniej więcej czasie co i Francji, a ubiegł wszystkie sąsiednie kraje. Biurokracja ta, w dodatku świetnie posługiwać umiała się intrygą polityczną, prowokacją i aparatem policyjnym.

Galicja miała być dla reszty krajów korony austriackiej krajem kolonialnym. Zadaniem jej było dostarczanie reszcie państwa tanich surowców i półsurowców, sama miała być chłonnym rynkiem zbytu dla przemysłu Czech i Austrii właściwej. Stąd zastój gospodarczy, pogłębiony jeszcze ogólnopaństwowymi kryzysami finansowymi, stąd pauperyzacja całego kraju, w rezultacie (jako, że kraj był rolniczy) przerzucona na barki pańszczyźnianego chłopa.

Wiosna Ludów nie ominęła i Galicji, ale wyniki jej były dla obozu patriotyczno-postępowego zupełnie nieoczekiwane. Gdy mimo wiosennych grzmotów, Austria się utrzymała, rząd wiedeński stał się w Galicji nadzieją i oparciem wszystkich skłóconych ze sobą warstw społecznych. Chłopi podjudzani i kokietowani przez rząd cesarski szukali w nim oparcia przeciwko szlachcie, bojąc się, by ta nie przywróciła pańszczyzny. Szlachta średnia, rozczarowana do romantycznych i demokratycznych ruchów politycznych, szukała u rządu opieki przed niebezpieczeństwem nowej rabacji. Sztucznie wyodrębniona arystokracja, za cenę tytułów i przywilejów od dawna szła z dworem. Mieszczaństwo słabe szło w ogonie ziemiaństwa i arystokracji. Ruska irredenda również łączyła społeczeństwo polskie z Austrią, która jedynie mogła jej się przeciwstawić. Do ostatecznej zmiany nastrojów przyczyniła się klęska Powstania Styczniowego, które w narodowym życiu Galicji odegrało bardzo dużą rolę. Poczynając od tej daty rozpoczął się w Galicji okres tzw. polityki realnej, polityki wychodzącej z założenia, że Galicja jest i będzie częścią monarchii habsburskiej i ponoszącej wszystkie tego założenia konsekwencje. Sławne stało się w Polsce galicyjskie konserwatywne hasło: „przy tobie panie stoimy i stać chcemy". Stanie przy „dobrotliwym Franc-Josefie" było tak wierne, że Polacy zostawali nie tylko lojalnymi czarno-żółtymi urzędnikami, ale bywali nawet premierami i ministrami spraw zagranicznych.

WYDANE ostatnio przez Ossolineum galicyjsko-wiedeńskie „Pamiętniki" Kazimierza Chłędowskiego obejmują okres od roku 1843 do 1900, czyli okres dokonywania się zmian, o których powyżej była mowa. Chłędowski znany jest każdemu inteligentowi jako autor „Ostatnich Walezjuszy" „Dworu w Ferrarze", „Historii neapolitańskich" i wielu innych, do dzisiaj rozchwytywanych po antykwarniach książek. Mało kto wie, że Chłędowski był przez wiele lat c. k. szambelanem, radcą dworu i wreszcie ministerialną ekscelencją, że tkwił głęboko w galicyjsko-wiedeńskim biurokratycznym świecie i czynny w nim brał udział.

O świetności pióra Chłędowskiego wiemy z innych jego dzieł, ale w „Pamiętnikach" okazał się on również wnikliwym i bystrym obserwatorem. Syn zubożałych ziemian, rozpoczynający karierę pod okiem Gołuchowskiego, kończący w Wiedniu na stanowisku ministra dla spraw Galicji, obracający się w urzędniczych, plutokratycznych i arystokratycznych kołach Lwowa i naddunajskiej stolicy miał wiele okazji do poczynienia i przekazania cennych dzisiaj informacji. Okazji tych nie zaniedbał, a chociaż z pozycji, które zajmował wielu rzeczy pojąć właściwie nie był w stanie, to materiał jaki pozostawił w swych wspomnieniach zasługuje na uwagę.

Zapewne — nie należy przesadzać z oceną „Pamiętników", jako źródłem do historii (tej przez duże H). Autor nie był znów tak bardzo wybitną osobistością. Historycy znajdą do dyspozycji bardziej szczegółowe materiały, kryjące się w polskich i w wiedeńskich archiwach. Wspomnienia Chłędowskiego natomiast zawierają to, czego brak wszystkim t. zw. poważnym źródłom, zawierają półnaukowy margines historyczny, składający się z subiektywnych ocen zjawisk i ludzi, anegdoty przetykanej niekiedy plotką, wspomnień ściśle osobistych oddających smak i kolor epoki — z tego wszystkiego co oczom badacza daje pełny obraz przedmiotu monografii. Na tym zresztą polega znaczenie większości pamiętników dla nauki. Warto tu wspomnieć nieznany bodaj p. Knotowi, autorowi przedmowy do Chłędowskiego, pamiętnik galicyjski Bobrowskiego. Brać je oczywiście należy zawsze cum grano salis. Zastrzeżenie to dotyczy również „Pamiętników" Chłędowskiego.

„Pamiętniki" są przede wszystkim dokumentem obyczajowym i psychologicznym, przy czym wartość ich jako takich jest szczególna. Chłędowski to nie Mickiewicz i nie Słowacki i nie doczekamy się nigdy monografii na temat sylwetki duchowej ekscelencji. Wartość dokumentarna wspomnień w psychologicznym aspekcie polega na ich typowości. Oczywiście — psychika osobnicza jest faktem niepowtarzalnym w swej jakiejś zasadniczej treści, ale epoka historyczna i jej warunki zewnętrzne w pewnym stopniu współwyznaczają proces jej formowania się. Estetyzm, głębokie zainteresowanie historią i sztuką, humanistyczny relatywizm są indywidualnymi cechami Chłędowskiego, natomiast typowe i powiązane z warunkami epoki są jego urzędniczo austriackie poglądy polityczne, niejasna szlachecko-plutokratyczna świadomość przynależności społecznej), hedonistyczny światopogląd członka warstwy uprzywilejowanej i wreszcie... antyklerykalizm.

Spośród wszystkich trzech zaborów gorączka antyklerykalizmu w najsilniejszym stopniu ogarnęła Galicję, w mniejszym Królestwo, a ominęła właściwie Poznańskie. Wyjaśnianie przyczyn tego zjawiska przekracza ramy niewielkiego artykułu — przyczyn nie można uogólniać tak jak bezceremonialnie uogólnia Chłędowski. W każdym razie przyszły badacz tego problemu znajdzie w „Pamiętnikach" wiele materiału.

Pamiętniki nie są lektura dla każdego, ale czytelnik wyrobiony, interesujący się historią oraz dziejami kultury i obyczajów uzna je za cenną pozycję swej biblioteki.

Kw.

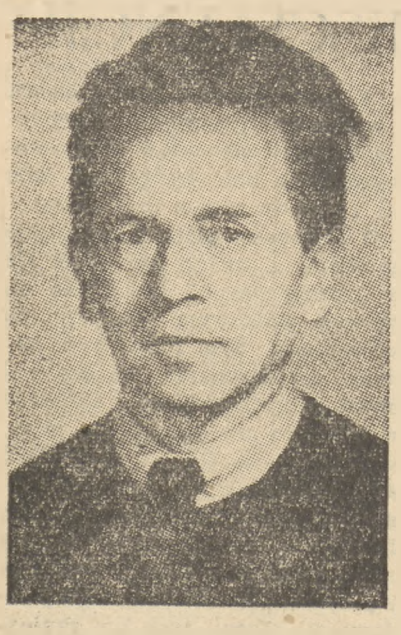

Tadeusz Kulisiewicz

Stefan MARTHA

TADEUSZ KULISIEWICZ

WRACAJĄC z wystawy zbiorowej grafiki i rysunków Tadeusza Kulisiewicza uświadomiłem sobie jeszcze raz, ale wyraźniej niż kiedykolwiek, jak gruntownie mylą się ci, którzy sądzą, że istnieje prosty stosunek między wielkością artystyczną, monumentalnością, charakterem epickim a przestrzennymi rozmiarami dzieła. I że spisując swoje wrażenia przeznaczone nie dla krytyków, którzy z rzadką jednomyślnością uznali artystę za najwybitniejszego obecnie polskiego grafika, ale dla przeciętnych widzów — trzeba będzie zacząć od obrony małych form. Że trzeba będzie mówić o ważności dzieła, rozwieszonego swobodnie w dwu salach, dzieła dwudziestu przeszło lat, które zmieściłoby się na stukilkudziesięciu kartkach niewielkiej książki. Że trzeba będzie zasugerować jakoś to jedyne wzruszenie, jakie ogarnia nas na widok ćwiartki papieru, na którym posłuszna ręka zanotowała wizję paroma kreskami piórka umaczanego w tuszu.

I nawet życiorys artysty, dający się zamknąć w paru zdaniach prostej notatki biograficznej, nie dostarcza pożądanej anegdoty i zmusza do skupienia się na dziele, więc...

WIOSKA nazywała się Szlembark i choć na pewno było wiele takich wiosek góralskich, ta jedna przejdzie do historii sztuki. Pierwsze cykle drzeworytów z lat 1930-36 młodego absolwenta warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych

T. Kulisiewicz — Stary Hryć

(„Szlembark", „Bacówka", „Metody", „Wieś w Gorcach") podjęły temat ciężkiego bytowania ludzi przywiązanych do twardej ziemi. Technika drzeworytu odpowiada tu doskonale atmosferze prac. Pokonywanie oporu materiału pozwoli stworzyć sugestywną wizję kościawych domów, zmęczonych twarzy, spracowanych rąk. Takie drzeworyty, jak „Stary Hryć", „Kobieta z różańcem", „Skrobanie ziemniaków" dzięki przecharakteryzowaniu twarzy, twardym nieco blaszanym zestawieniem czerni i bieli, pozwalają domyślać się pewnych wpływów ekspresjonizmu niemieckiego na wczesnego Kulisiewicza. Także „Wieś w górach" powstała w atmosferze pracowni Skoczylasa i jest jedynym na wystawie dowodem związku ze sztuką mistrza, od którego uczeń na szczęście nie przejął gotowej formy i późniejszej jego manierycznej już stylizacji. To byłyby jedyne ślady wpływów. Poza tym w najlepszych pracach tego okresu „Kobiety w polu", „Dzieci z jagnięciem", „Dzieci w płachtach" uderza dojrzała synteza formy i bogactwo kreski. Jej doskonała naturalność, która każe myśleć o organicznym związaniu wizji z materiałem. Tajemnicą Kulisiewicza-grafika jest absolutna świadomość materiału. Sucha igła ma czystą linię włosa, rysunek nie udaje drzeworytu, a drzeworyt nie naśladuje akwaforty, ale przeciwnie, pachnie drzewem, jego słojami, wzorem pisanej kory, miękkością przejść...

„Rysunki włoskie" z r. 1937 są dla artysty odkryciem czystego pejzażu i światła. Odtąd artysta wyzwoliwszy się z drzeworytu pozostaje wierny rysunkowi.

Rysunek najczęściej nie bywa pojmowany autonomicznie, ale jako coś, co powstaje ubocznie, jako wstęp do obrazów, dzieł skończonych i pełnych. I wiele jest takich rysunków, które są tylko notatką, zaznaczeniem kształtów, plam i linii, które potem przetłumaczone zostaną i wyposażone innymi środkami. To są rysunki malarskie. Ale są także takie nie tylko w sztuce współczesnej — choć teraz rysunek został świadomie wyodrębniony — są także rysunki, które stanowią dzieła skończone, wizję zamkniętą, nie budzącą niedosytu skromnością środków, bo w nich kto tylko dobrze patrzy dostrzeże i kolor i bryłę i wiele innych rzeczy, a nie tylko suchy kontur.

Rysunki Kulisiewicza są właśnie z rzędu tych pełnych, doskonałych, autonomicznych dzieł, które w paru kreskach zamykają cały sens i bogactwo plastyki. Odnosi się to zarówno do ołówkowych rysunków szlembarskich (z r. 1939), jak i trzech intymnych studiów formy (z r. 1942) oraz trzeciej pogłębionej wersji szlembarskiej (z r. 1948) rysowanej piórkiem lekkim jak jak rzęsa wadliwego oka. Doskonałe studia dzieci mimo mocnych uproszczeń formalnych nie zatraciły nic z charakteru i psychologii i przywodzą na myśl wielkiego malarza dzieci Tadeusza Makowskiego.

Natomiast popularny cykl „Warszawa 1945", posiadający niewątpliwie walory wielkiego dokumentu, mimo ekspresji ruin, mimo patosu nie wydaje się krokiem naprzód. Sądzę, że technika tuszu i sepii, traktowana tu po malarsku, nie bardzo leżała w możliwości Kulisiewicza-lineorysty. Że poszukiwanie czystej linii wynika z logiki rozwoju twórcy „Szlembarku" to jasno widać z jego ewolucji od drzeworytu przez tusz, sepię do ołówka, piórka, suchorytu (cykl z r. 1948).

Tadeusz Kulisiewicz — Kobiety z Połomki

Podróż na Zachód przyniosła parę świetnych rysunków i odkryła oblicze Kulisiewicza W „Deszczowym dniu" i „Concarneau" cała zamglona impresja, pełna linii wyzwolonych od formy, linii opisujących nie kształt, ale nastrój, przypomina sztukę impresjonistów, jakby muzycznym motywem z Debussy'ego. Natomiast trzy studia łodzi dają głębokie przeżycia form pełnych i dojrzałych jak instrumenty, jak muszle, jak przekrojone soczyste owoce. Zwłaszcza ostatni z tego cyklu (rys. nr 90) daje wrażenie czystości japońszczyzny i jednocześnie głębi tonu Rembrandta czy Van Gogha

Cykl „Żołnierze rewolucji i pokoju" (z 1950 r.) i „Bojownicy o wolność i demokrację" (1951-1952) stanowi próbę sforsowania aktualnej tematyki politycznej.

Rysunki z podróży po Czechosłowacji (1951-52) zamykają wystawę doskonałymi studiami pejzażu i architektury „Bratysława", „Praga", „Widok na Hradczyn", „Kutnahora".

Nie wiem sam, jak to się stało, że uwagi powyższe noszą cechy recenzji. Bardzo jestem niezadowolony z tej formy. Bo co chciałem napisać, miało być pochwałą mądrych oczu, bijącego serca i ręki, której nie osłabia żadne wahanie woli.

Konrad CZARNOCKI

PAPIEROWE GROBY

(Opowiadanie bibliofila)

SPUSTOSZONY, zrabowany stary zbór skrył swoje rany pod krwawą oponą dzikiego wina, zaplótł koroną kolczastych głogów martwe, bez szyb deskami zabite okna. Cztery wody bocianie usłały swe gniazda na szczytach wieżycy, na wystygłych kominach, na kalenicy winem porosłe go dachu głównego trzonu.

Stary zbór o grubych murach, skośnych na węgłach przyporach stoi w zapuszczonym gaju olchowym, nad brzegiem krętej rzeczułki, gdzie błąka się może czasami duch sjeneńczyka Socynusa, założyciela Sekty polskich unitariuszów. Dawna świątynia ariańska, dom modlitwy wyznawców herezjarchy Ariusa, aleksandryjskiego prezbitera, przez długie lata różnym wysługiwał się celom. Poprzez dwa stulecia był śpichlerzem nieistniejącego dominium; po wybudowaniu w pobliżu kościoła — plebanią, tusculum księdza Teofila, samotnika zakochanego w starych skryptach i cennych myślami księgach. Wojna zbuczyła przyległą świątynię Pańską, runęła część plebanii, grzebiąc pod gruzami starego kapłana i część jego zbiorów z zamiłowaniem gromadzonych przez długie, pracowite lata.

Głucha pustka w opuszczonym gaju, ruina i zniszczenie pod sklepieniem shańbionej siedziby. W jednej z izb narożnych spadła część żebrowego sklepienia, kryjąc pod gruzami szczątki połamanych mebli, drzazgi starych mahoni, skorupy wazy koreckiej. Stara palisandrowa szyfonierka o podwójnych dnach, pełna tajemniczych szufladek, gdzie szereg pokoleń chował listy sekretne, wspomnienia serc młodych, leży zwrócona ku ziemi licową stroną z wyłamanymi deskami tylnej ściany, splugawiona i pusta; rozsypane listy stare, wyblakłe, drobniutkimi literkami na welinie pisane; rozbity, bez nóg, palisandrowy klawikord z wyłuskanymi z pożółkłych kostek klawiszami. Podłogi zasłane warstwą papierów, zbrukanych kart z zeszytów muzycznych i starych ilustracji wydartych; w kominku niedopalone strzępy albumu z barwnymi reprodukcjami Turner'owskich wizji i pogięte srebrne blaszki dagerotypów. Na jednej ze ścian obrazy święte, zwisają z poczerniałych ram sztywnymi pasami malowanego płótna.

W środkowej części, w skrzyżowaniu murów dawnego zboru — biblioteka. Okna gęsto zakratowane, zasnute pędami dzikiego wina, osłonięte konarami drzew. Przy ścianach, w półkolach sklepienia, szafy prostej i prastarej roboty, ale stuletnia ich dojrzałość i piękno chronionej w nich ludzkiej myśli nadają ich patynie dostojną powagę. Stare, szacowne volumina w pergamin i deski oprawne, karty wyblakłe, zetlałe i postrzępione leżą w bezładnych kupach wyrzucone z bibliotecznych szaf. Tworzą foremne stożki u stóp głębokich półek, widać jednym rozmachem szerokich ramion strącone. Jedne legły pokotem, licami w prochu, z podwiniętymi pod siebie kartami, ciche jakieś i uległe; inne na grzbietach rozwarte, jakby w okrzyku grozy i protestu zamarłe. Grube, w tłoczonych skórach foliały drzemią na bokach bezpieczne, że im na urząd szytego odzienia, ni prawd prostych w ich treści zawartych, uszkodzą brutalne dłonie.

Leżą w przedziwnej zgodzie encyklopedyści i caprits-forts z bujnymi romantykami i świętymi księgami Kościoła. Obok Voltaire'a — Les Sermons du Père Bourdaloue, psałterze i kancjonały przy socyniańskich drukach, dyssydenckie modlitewniki radziwiłłowskie i „Zielnik" Syreniusza, sumptem królewny Anny, siostry Zygmunta Wazy, wydany. Zbratali się w zamęcie i skryli w cieniu nieprzejednani przeciwnicy. Jean Bodin obok Machiavella. Plejada łacińskich poetów runęła zwartą gromadką: Juvenal, Virgiliusz, Martialis, Horacy — homoncio lapidissimus — a przy nim, jakby swojego mistrza ochronić chciał w wojennym rozgromie Boileau i kilkadziesiąt błękitnych tomików Laharpe'a. Na brzegu kominka na wpół spalony, wieki tom Dictionnaire Moreri, prześliczne bazylejskie wydanie z 1745 roku. Długosz, Wapowski, Kromer, Heidensteina De bello moscovito — leżą w pyle i poniewierce, pomięte i zbrukane.

Z wyszarpanymi stronicami, odarte z opraw księgi stare, bezcenne Elzewiry Amsterdamskie, Aldyny weneckie, edycje światowej sławy oficyn od Plantin — Moretusa z Antwerpii, od Gringaniego z Rzymu, od Petriny Z Bazylei, świadectw talentów i uzdolnień mistrzów drukarskich szesnastego i siedemnastego stulecia. Stare bibuły polskie Elerta, Cezarego, wydania jezuickie dla szerokich mas przeznaczone, niezgrabne często i naiwne, a pośród nich jaśnieje przepyszną formą układu i czystością czcionek „Statuta" Herburta z Felsztyna, które ku chwale swego wieku w 1597, w Zamościu, MARTINUS LENSCIUS AKADEMIAE TYPOGRAPHUS EXCUDEBAT.

Nikt do tych umarłych książnic nie zaglądał przez lata, nikt nie mącił spokoju papierowych grobów...

Na szerokich marginesach często przypisy rękami pradziadów kreślone, jak na zawiłym traktacie o hieroglifach Niemca-jezuity Kirchera, u Vignona w Genewie w 1620 wydanym, albo na Pufendorfa historii: świadkowie tych czasów notaty swoje i uwagi zapisali.

W wogu bibliotecznej szafy — skrytka, ale i ta argusowe oczy szperaczy dojrzały. Tutaj przed ciekawym wzrokiem natrętów chowano weneckie CONTI DA RIDERE, swawolnego Rabelais, a może i trefne Aretina RAGIONAMENTI. Nad głęboką wnęką okienną, lekko przez lata nachylony, stoi komplet dzieł Buffona, przed setką lat w Paryżu drukowany. Wielki naturalista, który się za życia nie rad z rodzinnego Montbard ruszył, i tutaj szczęśliwym trafem losu towarzyszów uniknął. Ocaliły go grube warstwy szarego kurzu i gęste przędze wielu pokoleń pajączych.

Pożółkłe rękopisy zasłały podłogi sklepionych izb od piwnic do strychów. Brodzi się po tym szeleszczącym dywanie, jak po spadłych liściach jesiennych. Stare papierzyska nawilgły, zbutwiały a ciemne błoto żołnierskich butów zlepiło często holenderską „czerpaną" kartę z pomiętą niemiecką proklamacją.

W jednej z izb od ziemi do skłonu sklepienia tworzą trójkątną stertę, jak podryzowane ziarno w spichlerzu. Inwentarze pracy całych pokoleń, ślady ich wysiłków i zabiegów, wielowiekowe zatargi i procedury zawiłe o zajazdy, gwałty, zniszczenia granic, o obrazę honoru, o „słowo uszczypliwe", pozwy, dekrety, expulsje — owoce kunsztów pieniackich palestrantów przebiegłych — radości i troski, triumfy i ruiny, krzywdy łzami pokrzywdzonych oblane.

Oto plika testamentów rodzinnych, każdy imieniem Boskim i słowami godnymi rozpoczęty, HEREDITATEM SUAM pomiędzy familię i przyjaciół rozdziela: komu sianożęcia i łąki podmokłe, komu sprzęt, suknie i strój do szat należny.

Leży pośród tych starych murów granica pomiędzy rzeczywistością a fantastyczną opowieścią. Nad wspomnieniami potępionego przez Sobór nicejski Ariusa, negującego „podjęte z nicości słowo", góruje duch starego plebana — zbieracza.

Ze ścian, patyną pleśni pokrytych, sypie się z cichym szelestem spękane wapno, a przez witraże z krwawych liści jesiennych promyczek niskiego słońca ozłaca stare papiery.

Konrad Czarnocki

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880 71,880 26
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Prenumerata miesięczna 1,80 złotych Kwartalnie 5,40 złotych.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3 Zam. 1355. 3-B-17197.